

Rok XXXIII

Nr e-150 (346)

Kwiecień 2019

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Drugie życie tunelu	Krzysztof Tęcza	3
Heřmánekovice		
– miejscowość z widokami nie tylko na Góry Stołowe	Bartosz Skowroński	5
Na Trójgarbie i Przełomie Pełcznicy	Krzysztof Gdula	6

OJCZYSTE SZLAKI

Zapomniana wieś Petryki	Marta Golembiewska	10
Nowe oblicze zamku w Rytrze	Juliusz Wysłouch	12
Tu kupujemy książki, gazety, pamiątki	Tomasz Kowalik	13

TRASA MIESIĄCA

Po Górze Przedziwnej błędząc	Sebastian Jakobschy	15
------------------------------------	---------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Z maczetą do lata	Juliusz Wysłouch	18
-------------------------	------------------------	----

GLOBTROTER

Gruzińską Drogą Wojenną pod Kazbek	Mirosław J. Barański	19
--	----------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Janusz zaprasza na Pojezierze Wałęckie	Sławomir Chojnacki	22
Nadanie imienia Dorothei Rohrbeck		
alejom parkowym we Wleniu	Krzysztof Tęcza	24
XIX Spotkanie Śladowe	Juliusz Wysłouch	25
Śladami uczestników jeleniogórskiej wyprawy na Annapurnę	Krzysztof Tęcza	27
Finał etapu wojewódzkiego		
OMKK PTTK „Poznajemy Ojcowiznę”	Krzysztof Tęcza	29

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Niech mu będzie Baltazar	Ryszard M. Remiszewski	31
Leon Hryniewiecki	Janusz Fuksa	34

U KRESU WĘDRÓWKI

Kilka słów o Konradzie	Juliusz Wysłouch	36
Konrad Ostańkowicz	Julietta Janczewska	37

RECENZJE I NOWOŚCI

Spotkajmy się w Pieninach	Tomasz Kowalik	38
Trylogia o Łemkowszczyźnie	Tomasz Kowalik	40
Dolomity - wiersz	Karyna Drzewiecka	42

Na okładce: Panorama Karkonoszy z okolic Piekłiska w Rudawach Janowickich.

Fot. Krzysztof Tęcza

Drugie życie tunelu

Tytuł może nie do końca oddaje to, co obecnie dzieje się w nieczynnym tunelu kolejowym pod Przełęczą Kowarską, ale sam temat wart jest przedstawienia.

Gdy wymyślono nowy rodzaj transportu umożliwiającego nie tylko szybkie przemieszczanie się, ale przede wszystkim tanie przewożenie kopalin i produktów, nastąpiła era rozkwitu miejscowości położonych wzdłuż tras kolejowych. To właśnie transport kolejowy zapoczątkował rozwój wielu miast. Okazał się o wiele tańszy niż dotychczas wykorzystywany, zwłaszcza jeżeli chodziło o przewożenie produktów masowych, np. kopalin.

Śląsk był regionem, w którym działało i powstawało wiele kopalń, hut i różnego rodzaju zakładów przemysłowych. Dlatego projektując nowe połączenia kolejowe brano pod uwagę lokalizację tych właśnie zakładów. Najpierw zbudowano główne linie kolejowe łączące największe i najważniejsze ośrodki przemysłowe na tym terenie. Później przyszła pora na połączenia mniejszych ośrodków. Jednym z takich połączeń była trasa z Kowar do Kamiennej Góry. Oczywiście docelowo linia ta miała połączyć Kamienną Górę z Jelenią Górą, najpierw jednak trzeba było przebić się przez góry oddzielające te dwa miasta. Najniższym miejscem oddzielającym Karkonosze od Rudaw Janowickich była Przełęcz Kowarska, aczkolwiek biorąc pod uwagę jej wysokość (727 m n.p.m.) – i ona stanowiła problem, wydawałoby się, nie do pokonania. Jednak projektanci podjęli wyzwanie i postanowili poprowadzić linię kolejową pod wspomnianą przełęczą tak, by obniżyć nachylenie torów, umożliwiając w ten sposób swobodną jazdę dużych składów towarowych. Bo przecież to było w tamtych czasach priorytetem.

Połączenie Jeleniej Góry z Kamienną Górą rozłożono na kilka etapów. Najpierw doprowadzono w roku 1882 linię kolejową do Kowar. Niestety ze względu na zbyt duże różnice wzniesień budowa dalszego odcinka została wstrzymana na wiele lat. Dopiero w roku 1905 zdołano przebić tunel pod Przełęczą Kowarską, co umożliwiło doprowadzenie torów do samej Kamiennej Góry. W roku 1932 zakończono elektryfikację tej linii. Pozwoliło to na wyeliminowanie pociągów opalanych węglem, które bardzo szkodziły środowisku, a także były zbyt słabe, by podołać transportowi wielkich składów towarowych.

Niestety w roku 1945, po zakończeniu II wojny światowej, na mocy porozumienia pomiędzy rządem polskim a radzieckim przystąpiono do demontażu trakcji elektrycznej kolei na Śląsku. Od tej pory przez tunel kursowały parowozy. W latach 80. XX wieku podjęto decyzję o wstrzymaniu ruchu kolejowego pomiędzy Mysłakowicami a Kamienną Górą. Wówczas rozpoczął się niekontrolowany demontaż szyn kolejowych i stałych podkładów.

Dziś linia kolejowa w nieużytkowanym tunelu kolejowym o długości 1025 metrów ma zachowane prawie kompletne torowisko. Torów brakuje tylko na niewielkim odcinku od wlotu ze strony Kowar. Tam też zostały zdemontowane podkłady kolejowe używane jako drewno na ogniska.

Linia kolejowa poprowadzona tunelem wydrążonym pod Przełęczą Kowarską prowadzi pod Drogą Głodu zbudowaną w XIX wieku w czasie wielkiego kryzysu. Dzięki decyzji władz, które postanowiły pomóc głodującej ludności, rozpoczęto budowę nikomu niepotrzebnej drogi z Kowar do Piszczowic.



Prowadziła ona przez trudne górskie tereny. Jej budowniczowie dostawali za dzień pracy symboliczny bochenek chleba i 60 fenigów. Musiało im to wystarczyć na utrzymanie rodziny. Ale nie było innego wyjścia. Budowę drogi ukończono w roku 1857, po dwóch latach ciężkiej pracy. Do tej pory wykorzystywano Stary Trakt Kamiennogórski. Ale tak naprawdę, ze względu na przewyższenia, nowa droga wcale nie była konkurencją dla starej trasy.

Dzisiaj tunel kolejowy pod Przełęczą Kowarską, chociaż oficjalnie nieużywany, jest odwiedzany niemal codziennie przez cały rok. Wielu żądnych wrażeń zagląda tu, by przeżyć coś nietuzinkowego, ponieważ przejście tunelem, zwłaszcza zimą, dostarcza wielu emocji.

Aby przekonać się na własnej skórze, jak to jest, wybraliśmy się tam na początku lutego 2019 roku. Śniegu mamy dużo, więc nie warto „pchać się” samochodem pod sam wlot tunelu z jednej czy drugiej strony. Najlepszym rozwiązaniem jest podjechać bardzo piękną widokowo drogą z Kowar na Przełęcz Kowarską i pozostawienie samochodu koło zbudowanego tam jakiś czas temu igloo.

Do tunelu można wejść zarówno od strony Kowar, jak i Ogorzelca. Lepszym rozwiązaniem wydaje się przejście w stronę Kowar. Droga, przy której stał do niedawna krzyż pokutny, jest w miarę dobra. Wspomniany krzyż został skradziony, a po odzyskaniu ustawiony nieco wyżej – tak, by znajdował się „na widoku”.

Po zejściu na wysokość pierwszych zabudowań trzeba przeskoczyć przez płynący strumyk i przejść na drugą stronę starego wiaduktu, położonego nad torami. Chodzi o to, że z tamtej strony mamy łagodniejsze zbocze, po którym możemy ześlizgnąć się na torowisko. Niestety na tym odcinku tory zostały już rozkradzione. Na szczęście w tunelu jeszcze ich nie rozebrano. Wlot do tunelu to granica pomiędzy dwoma światami. Na dworze mamy zwały zalegającego śniegu, a wewnątrz jedynie wodę i tysiące sopli. Trzeba tu uważać, gdyż z tunelu wypływa struga wody, która często tworzy warstwę lodu, a upadek na tory nie należy do przyjemnych.



Już po przejściu kilkudziesięciu metrów jesteśmy w innym świecie. Widzimy zwisające ze sklepienia oraz ścian sople lodowe. Niektóre osiągają niesamowite rozmiary. Trzeba uważać, bo ze względu na lekkie ocieplenie w ostatnich dniach są one kruche i po dotknięciu spadają na podłogę, czemu często towarzyszy ogromny huk. Dlatego też należy wystrzegać się głośnych krzyków.

Ciekawostką w tym tunelu jest fakt, że torowisko wznosi się lekko, a całość jest poprowadzona po łuku. Oczywiście przechodząc przez tunel należy używać czołówki lub innej latarki, inaczej narazimy się na kontuzję. Warto jednak od czasu do czasu przy wyłączonym świetle przyjrzeć się blaskom odbijającym się od lodowych tafli i błędzającym po kamieniach, z których zbudowano tunel. Warto też wsłuchać się w szum wody wypływającej pomiędzy kamieniami. Początkowo dochodzi do nas tylko lekki szmer, jednak w miarę zbliżania się do tego miejsca odgłos nasila się, by w końcu dojść do takiej mocy, że zaczynamy odczuwać lekki niepokój. Jeśli zarządca tunelu w najbliższym czasie nie wykona prac naprawczych, w tym miejscu nastąpi zawał.

Tym razem najpiękniejsze sople ujrzeliśmy tuż przed wyjściem z tunelu od strony Ogorzelca. Niestety, nie doświadczyliśmy śpiewu tunelu, jaki niekiedy słychać tutaj w mroźne dni. Chodzi o to, że czasami tysiące zwisających sopli, kołysanych wiatrem przelatującym przez tunel, uderzają o siebie dając prawdziwy koncert.

Pisząc wcześniej o wielu odwiedzających to miejsce wcale nie myliłem się. Zanim wyszliśmy z tunelu słyszeliśmy głosy kolejnych osób idących za nami, a po wyjściu minęła nas grupka turystów podążających w przeciwną stronę. Nam pozostało już tylko wdrapać się po skarpie na drogę prowadzącą przez betonowy wiadukt i przejść na drugą stronę torowiska. Teraz przez łąkę do wspomnianej Drogi Głodu i po kilkunastu minutach jesteśmy ponownie na Przełęczy Kowarskiej, gdzie pozostawiliśmy samochód.

Krzysztof Tęcza

Heřmánkovice

– miejscowość z widokami nie tylko na Góry Stołowe

W Czechach, opodal Broumova, częściowo w Javořích horach i częściowo w Broumovskiej kotlinie położone są Heřmánkovice. Zdecydowana większość zabudowań tej wsi leży wzdłuż doliny Heřmánkovického potoku. Długość nieco krętego odcinka doliny tego cieku, pomiędzy najwyżej i najniżej położonymi domostwami miejscowości – tymi, rzecz jasna, leżącymi wzdłuż niej – wynosi ok. 5 km. To dość sporo. Nic dziwnego więc, że o ile jej dolne zabudowania sąsiadują praktycznie z zabudowaniami Broumova, leżąc częściowo w ww. kotlinie, o tyle sporo od nich odległe górne zabudowania położone są już w samych Javořích horach. To wszystko sprawia, że krajobraz w rejonie wsi jest urozmaicony, ba! nawet bardzo. Z dołu, z kotliny, podziwiać można np. zalesione góry należące do Javořích hor. Można też patrzeć na gdzieniegdzie płaskie fragmenty wspomnianej kotliny. Myliliby się jednak ci, którzy sądziliby, iż jest ona tutaj płaska jak stół, bowiem w rejonie Heřmánkovic (nie tylko zresztą) jest miejscami pofalowana. A zaliczane są do niej także, dość wyraźne nieraz, wzniesienia. No bo np. taki Supí vrch (541 m n.p.m.) to już góra rzucająca się w oczy, chociaż uznawana jeszcze za fragment Broumovskiej kotliny.

Akcentami krajobrazowymi rejonu Heřmánkovic są jednak nie tylko zalesione wyniosłości terenu, ale i sama dolina Heřmánkovického potoku na obszarze zabudowanej części tej wsi. Niektóre z jej budynków położone są blisko koryta cieku, inne – nieco dalej, nieco wyżej od niego. Są i takie, które leżą jeszcze wyżej, nad dość stromo gdzieniegdzie opadającymi zboczami jego doliny. W Heřmánkovicach mamy też takie miejsca, gdzie zabudowania leżą dość blisko siebie, jednak na kilku różnych wysokościach. W przypadku niektórych posesji widać, że wjazd do nich prowadzi wprost z szosy biegnącej wzdłuż zabudowań wsi, dość blisko koryta potoku. Do innych znów, mimo że leżą blisko tych poprzednich, wjazdy prowadzą z zupełnie innej drogi – na przykład tej poprowadzonej dość wysoko nad doliną Heřmánkovického potoku, wzdłuż której widoczne są znaki szlaku żółtego. Będąc tam, już na obszarze Broumovskiej kotliny można zobaczyć także po prostu spore zagłębienie terenu. Da się trafić i na takie miejsce, w którym dna tego zagłębienia praktycznie... nie widać, widać za to przeciwległe, zaokrąglone jego zbocze. Owo zagłębienie to dolina potoku, a wspomniane zbocze – to właśnie zbocze tej doliny. Ten interesujący układ osadniczy jest godny zobaczenia. Powiedzą niektórzy, że to niejedyne tego rodzaju miejsce. No, ale czy będąc w tych stronach nie warto tego zobaczyć?

A w Heřmánkovicach obok dużych niekiedy budynków mieszkalnych, tu i ówdzie zobaczyć można też np. kamienne krzyżyki na postumentach, a także inskrypcje. Dominantę zabudowy wsi stanowi jednak barokowy kościół pw. Wszystkich Świętych. Sporo informacji o nim, jak i o innych świątyniach w okolicznych miejscowościach, można znaleźć w wielu źródłach, także po polsku.

W pobliżu świątyni prowadzi żółty szlak. To inny odcinek wzmiankowanej wcześniej znakowanej trasy. Już stamtąd można zobaczyć np. pewne fragmenty Javořích hor czy też Gór Stołowych. Przy odpowiedniej pogodzie widoczne są przykładowo Szczeliniec Wielki (919 m n.p.m.) i Szczeliniec Mały (895 m n.p.m.). Turyści mają więc okazję popatrzeć z terytorium Republiki Czeskiej na góry leżące w Polsce. Obie te góry (i nie tylko te) można obserwować (rzecz jasna, przy odpowiedniej widoczności) także z odcinka ww. szlaku, który wiedzie z niezalesionych rejonów powyżej wspomnianej świątyni. Na tych bezleśnych terenach nie ma zabudowań,



Fragment kościoła pw. Wszystkich Świętych w Heřmánkovicach

są za to możliwości podziwiania rozległych panoram. Słowem, prawdziwa atrakcja dla miłośników widokowych miejsc. Pasjonaci rozpoznawania poszczególnych szczytów powinni być zadowoleni.

Wspomniany szlak żółty prowadzi jednak nie tylko przez niezalesione tereny – dalej wiedzie już przez las, m.in. do doliny ciekę o nazwie Uhlířský potok. Piękna, zalesiona i odludna to dolina.

Pieszy szlak żółty to niejedyna znakowana trasa turystyczna na obszarze Heřmánkovic. Między innymi, wśród górnej części zabudowań wsi (tych posadowionych w dolinie Heřmánkovického potoku) prowadzi szlak rowerowy. To trasa oznaczona numerem 4002. Można udać się nią na przykład do administracyjnej części Heřmánkovic noszącej nazwę Janovičky. Tam szlak ten krzyżuje się z inną trasą rowerową o numerze 4501. W Janovičkach przecinają się też pewne znakowane szlaki piesze – niebieski i żółty. Przykładowe miejsca, do których mają one kierować, wymienione są na tamtejszych tabliczkach szlakowskazowych.

Już na sam koniec warto dodać, aczkolwiek o atrakcjach rejonu Heřmánkovic można by sporo jeszcze napisać, że Janovičky to kolejne miejsce, które warto polecić miłośnikom górskich panoram. Widoki są tu inne niż z bezleśnych terenów powyżej świątyni w tytułowej miejscowości. Zresztą, napiszę tak – niejedynie to widokowe miejsce w tych stronach. Być może sformułowanie mówiące o niejednym widokowym miejscu jest monotonne, ale skoro adekwatne do opisu, to chyba warto tego fragmentu linijki tekstu?

Bartosz Skowroński



Heřmánkovický potok

Na Trójpgarbie i Przełomie Pełcznicy

Na Trójpgarbie byłem dwukrotnie w ciągu dziesięciu ostatnich lat, a z tych wejść zapamiętałem ciszę pustego szlaku i strome zbocza głębokiego jaru, którymi szlak prowadził. Ze szczytu nie było widoków, chyba tylko w jednym miejscu między drzewami pojawiała się dal, bokami mocno ograniczona. Pierwszy raz poszedłem tam... nie wiem dlaczego. Byłem wtedy na Chełmcu, górze, z którą łączą mnie przedziwne związki, a że Trójpgarb nie jest odległy i nie byłem na nim... Drugie wejście było kilka lat później, w słoneczny i śnieżny dzień mroźnej zimy, a poszedłem tam wspominając ładne zbocza góry.

Jadąc tam dzisiaj, byłem ciekawy nie tylko wieży na szczycie, ale i mojego widzenia jaru i lasów na podejściu. Zobaczyłem je ładniejszymi niż dawniej. Tam jest po prostu pięknie.

Więc trafił się nam dzień chmurny i dość wietrzny, z rana padał deszcz i było zimno, ale później pogoda poprawiła się, chociaż słońce pokazało się tylko na moment.

Szczególnie urokliwe były chwile z mgłą przygnaną silnym wiatrem wiejącym górą. Świerkowy las rosnący na stromych zboczach wyglądał wtedy bajkowo: był większy, surowszy, bardziej intrygujący i tajemniczy. Kilka razy zbaczaliśmy ze szlaku na brzeg jaru dla spojrzenia w dół, na dno ze strumieniem, i zachwycenia się widokiem lasuomalże wiszącego na zboczach naprawdę trudnych do przejścia. Jak drzewa utrzymują pion w takich warunkach? – to pytanie, będące też zdumieniem i podziwem, słyszałem w sobie często.

Wieża robi wrażenie. Wysokością też, ale głównie nowoczesnym kształtem. Jest trójkątnym słupem zbudowanym ze stalowych kratownic, we wnętrzu którego są wygodne, szerokie schody zabezpieczone masywną balustradą. Pod szczytem wisi pięć platform widokowych na trzech poziomach. Są w kształcie trójkąta

wystającego w bok od wieży na około osiem metrów. Gdy stoi się najdalej od wieży, przy zbiegających się barierach trójkąta platformy, rury wieży ma się z tyłu, balustrady też, jedynie przy piersi widać ich skrawek. Ma się wtedy wrażenie zawiesnięcia w powietrzu, a wzrok leci w dal ogromną niczym niekrępowany. Dopiero spojrzenie za siebie pozwala dostrzec konstrukcję. Nie wymienię wszystkich widzianych pasm i wierzchołków, te najdalsze słabo były widoczne, rozpoznałem jednak kilka kaczańskich szczytów, widziałem Ślężę, Chełmiec i Waligórę.

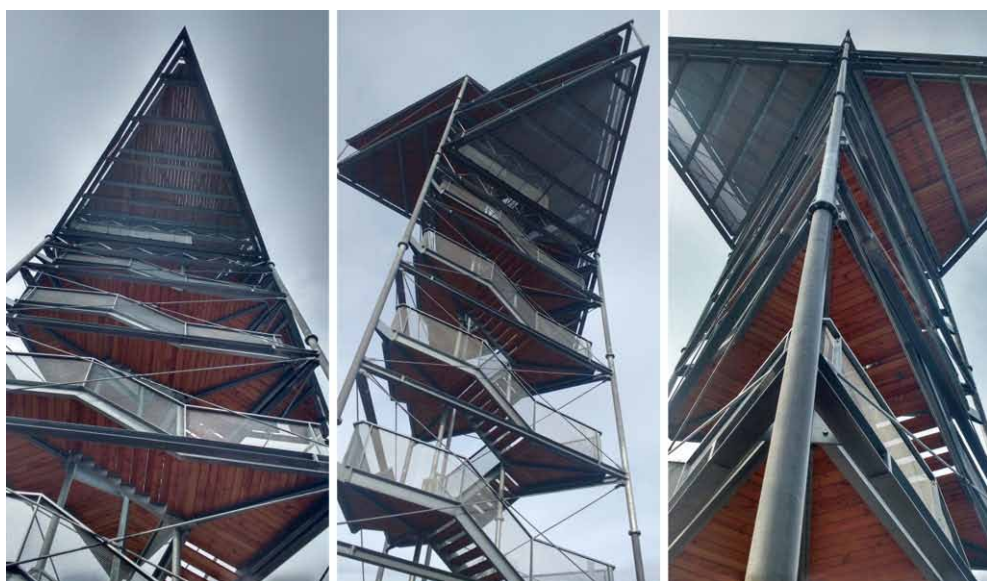
Przy dzisiejszym silnym wietrze czułem niewielkie ruchy całej wieży, co jest normalnym zjawiskiem w takich konstrukcjach, ma też swój urok dla ludzi lubiących silne przeżycia. Schody i platformy widokowe wyłożone są deskami, ale jedna z nich podłogę ma metalową, z pionowych cienkich żeber. Między nimi widać niewiele zasłoniętą ziemię i szczyty drzew. Po zrobieniu pierwszego kroku zatrzymałem się, dalsze wymagały mobilizacji woli, ponieważ wydawało mi się, że idę... w powietrzu, więc zrobienie kroku może spowodować lot ku ziemi.

Znając się nieźle na stalowych konstrukcjach, obejrzałem wieżę okiem technika. Rury i profile w kształcie litery H (w zawodowym slangu mówi się o hebach) są skręcane, czego się spodziewałem. Zwróciłem uwagę na wytrzymałość śrub i z satysfakcją stwierdziłem, że wśród nich są

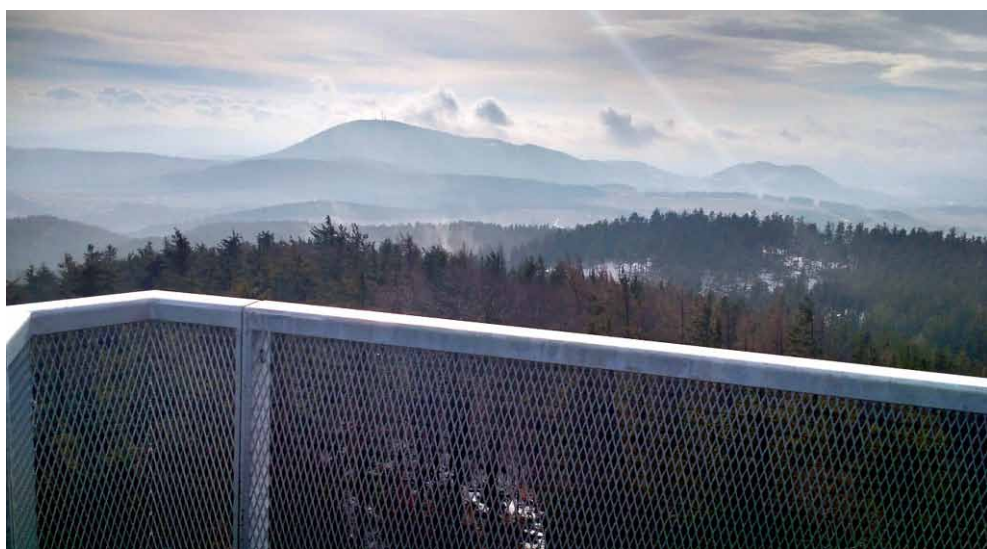
najmocniejsze, o wytrzymałości oznaczonej symbolem 12,9, a takie śruby produkuje się ze stali tak wysokiej jakości, że naprawdę trudno je zerwać. Zauważyłem kilka drobnych niedoróbek, na przykład w mocowaniu balustrad i krat stalowej podłogi, ale w sumie to drobnostki. Reasumując, wieża jest ładnie zaprojektowaną i porządnie wykonaną konstrukcją. Kilka lat temu byłem na nowej, drewnianej wieży ustawionej na szczycie



Na zboczu Trójarbu



Nowoczesna konstrukcja wieży



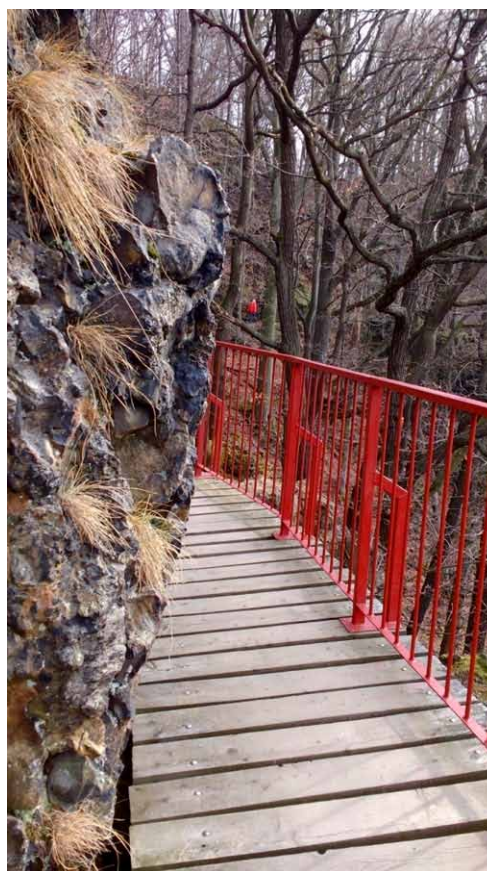
Widok z wieży na Chełmca

Trójmorskiego Wierchu w masywie Śnieżnika. Znalazłem tam mnóstwo niedoróbek i poważnych błędów projektowych. Nie wiem, w jakim jest teraz stanie, ale długo nie postoji. Natomiast ta trójgarbska będzie służyć wiele lat, jeśli tylko właściciele zadbają o nią.

Od ostatniego domu wioski, czyli od podstawy na szczyt jest około 250 metrów w pionie. Gdy byliśmy 30 metrów nad samochodami widocznymi między drzewami, mijaliśmy rodzinę. Nastolatka dziewczyna zapytała się, czy przeszli już połowę drogi, a jej ojciec pocieszał mówiąc o późniejszej mniejszej stromiznie ścieżki. Dużo jest teraz ludzi na szlakach Trójgarbu, a sporo wśród nich górzę widział na pocztówkach, o czym jeszcze napiszę.

Pod zamkiem Książ są eleganckie alejki, królewskie bramy i płatne parkingi, jest dużo ludzi i samochodów, stoją banery reklamowe i szlabany; pachnie miastem i komercją. Od razu poczułem się tam źle, nie u siebie. Z ulgą wchodziłem między drzewa.

Pelcznica jest małą rzeczką, właściwie strumieniem, ale płynie przełomem o głębokości, jak oceniłem, 70 metrów. Przełom jest niesamowitą formacją geologiczną: to miejsce, gdzie rzeka przepływa w poprzek gór, a że pod górę nie chce się jej płynąć, ryje, czy raczej wypłukuje w górach głębokie koryta. W Internecie znalazłem informację o głębokości dochodzącej do 80 metrów, a ściany tego jaru (raczej wąwozu z powodu płaskiego dna) są albo bardzo strome, albo wprost pionowe.



Na szlaku w Wąwozie Książ

W połowie ich wysokości wiedzie szlak zbudowany wielkim nakładem pracy. Wąską ścieżkę wykuto w skale albo utworzono ją budując kamienne mury od niżej strony, a w kilku miejscach idzie się stalowymi kładkami zakotwiczonymi w pionowych ścianach. Z jednej strony strome zbocza lub piętrzące się skały, z drugiej urwiska i strumień w dole. Szlak jest bardzo urozmaicony, pełen zakrętów omijających skalne występy, a każdy budzi ciekawość niewidocznej drogi.



Mnóstwo jest drzew rosnących na wielu poziomach: obok pni jednych drzew widzi się korony innych, wyrastających z ocienionego dna. Wiele widziałem dużych buków, wiele strzelistych, jak to w zwarcu, lip i dębów. Widziałem wyjątkowy las bukowo-modrzewiowy bez domieszek innych gatunków. Jedne i drugie duże, ale szczególnie modrzewie zwracały uwagę swoją wielkością. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego połączenia. Wielopiętrowość gęsto rosnących drzew zapewne mocno ogranicza widoczność w zielone miesiące, dzisiaj jednak widzieliśmy przeciwległe zbocze, a później ruiny po drugiej stronie i platformę widokową, jakby zawieszoną w przestrzeni, a w rzeczywistości zbudowaną na końcu skalnej ostrej grzędy zwężającej wąwóz. Kolejne piękne miejsce.

Mówi się o hitlerowskich tajemnicach, o ukrytych podziemiach i skarbach, ale szczerze mówiąc – nie pasjonują mnie takie wieści. Z przyjemnością oglądałem buki rosnące przed ruiną i ogromny bluszcz siedzący na kamiennej ścianie. Jego pień jest najgrubszym z widzianych, na oko ma ćwierć metra średnicy, czyli bardzo dużo jak na taką roślinę.

Gdy wracam tą samą drogą, zawsze inaczej widzę otoczenie, zauważam niedostrzeżone wcześniej ładne drobiazgi i nigdy ta droga mi się nie nudzi. Ot, na przykład, w czasie powrotu zauważyliśmy nad drzewami szczyt skały i ludzi na nim, a później drózkę wijącą się zakolami po stromym, kamienistym zboczu na górę. Jeszcze jedno piękne miejsce, którego wcześniej nie dostrzegliśmy.

Na ostatnich metrach szlaku, tuż przed wejściem na chodnik ulicy przed pałacem, spotkaliśmy dwoje młodych ludzi. Mężczyzna pytał, co mogą zobaczyć na szlaku.

Za godzinę miał zapaść zmierzch, ona na gołych stopach miała nieskazitelnie białe tenisówki z odkrytymi kostkami, a on ciągnął ją na kamienistą ścieżkę, właściwie nie wiedząc po co. Uważam, że mężczyzna ma dbać o bezpieczeństwo swojej kobiety, a nie ciągnąć ją tam, gdzie może sobie zrobić krzywdę. Ona też mogłaby pomyśleć, skoro jej facet nie potrafił, i puknąć go w czoło.

Im bliżej końca mojej pracy w pobliżu Sudetów, tym dłuższa robi się lista miejsc do poznania lub powrotów. To niesprawiedliwe, miałem napisać, ale uświadomiłem sobie fakt zobaczenia tutaj, w nie moich górach, tak wielu ładnych miejsc. Znajduję w nim pocieszenie na przyszłość: na drugim krańcu Polski też znajdę ładne miejsca, chociaż nie będą to moje ulubione Góry Kaczawskie ani nawet nie Sudety.

Krzysztof Gdula



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Zapomniana wieś Petryki

Petryki to wieś położona w województwie wielkopolskim, w powiecie kaliskim, w gminie Stawiszyn, oddalona od Stawiszyna o 3 km na wschód. Na terenie sołectwa Petryki znajdują się wsie: Łyczyn i Stary Kiączyn.

Miejscowość wzmiankowana była w źródłach co najmniej od 1462 roku. Wówczas rodzeństwo Agnieszka, Bogna, Bartłomiej i Mikołaj zastawili jej część Jakubowi z Petryk. Wieś istniała już zapewne o wiele wcześniej pod nazwą Pietrzyków lub Pietrzyki, a najstarsze ślady osadnictwa na jej terenie pochodzą z czasów kultury przeworskiej. W XVI w. Petryki zostały przejęte przez Jana Mycielskiego, a następnymi właścicielami zostali dotychczasowi posesorzy – Ludmiła i Przecław Łaskowscy. Po nich majątek odziedziczyła córka Beata, żona Krzysztofa Radzewskiego, która w 1620 roku oddała go w zastaw Wyleżyńskim. W XVII w. włości petryckie należały do rodziny Żaluskowskich.

Około 1789 roku majątek od Mateusza Leśniewskiego nabył sędzia ziemski kaliski Ignacy Wyganowski, który w 1821 roku sprzedał go synowi Ksaweremu za kwotę 350 000 złotych. Osiemnaście lat później Wyganowski odsprzedał włości Wilhelmowi Aleksandrowi Repphanowi, fabrykantowi z Kalisza. Po nim właścicielem majątku został jego brat – August. W 1884 roku wieś stała się własnością spółki akcyjnej pod nazwą Towarzystwo Cukrowni i Rafinerii „Zbiersk” Wilhelma A. Repphana, należącej do rodziny Repphanów. Wówczas włości weszły w skład nowych dóbr, zwanych Zbiersk-Petryki. W czasach PRL pozostałości po majątku dworskim zostały przejęte przez Państwowe Gospodarstwo Rolne i Stację Hodowli Roślin Ogrodniczych, a następnie sprzedane osobie prywatnej przez Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa.



Dwór w Petrykach. Fot. polskiekrajobrazy.pl

We wschodniej części wsi zachowało się założenie dworskie, składające się z części rezydencjonalnej i folwarcznej, które oddzielone jest od wsi drogą asfaltową i torami kolejki wąskotorowej ze Złotnik Wielkich do Zbierska. Dwór był pobudowany najprawdopodobniej w latach 20. lub 30. XIX w. dla Ksawerego Wyganowskiego, a w 1839 r. przeznaczono go na mieszkanie dla administratora majątku, chociaż nie wyklucza się, iż mógł mieszkać w nim jego ówczesny właściciel, Wilhelm Aleksander Repphan. Wówczas to budynek został wyremontowany i rozbudowany – dodano parterowy człon zachodni, a w XIX wieku portyk frontowy, zaś w okresie PRL dobudowano taras i schody południowe.

Park o powierzchni 2,33 ha, rozplanowany na rzucie prostokąta, graniczący z ogrodem użytkowym i z dojazdem na podwórze, zachowuje pierwotny układ. W parku rozciąga się polana, na której obrzeżach przetrwała metalowa altana z kamienną ławeczką, kilkanaście starych drzew oraz stawek na cieku wodnym. W pobliżu dworu, na pagórku znajduje się dawna lodownia.

Zabudowania folwarczne z dworem zwanym „budowaniem wielkim” zostały opisane w inwentarzu z 1620 roku. W folwarku zajmowano się wtedy przede wszystkim chowem bydła, owiec, gęsi i świń. W 1746 roku zabudowania folwarczne składały się z dworu, mielcucha, stajni, sołka, chlewu, 2 stodół, obory

i owczarni. Około 200 lat później folwark powiększył się o olejarnię, austerie ze stajnią, gorzelnię z browarem, a we wsi były 4 domy murowane, 2 drewniane i 2 z tzw. strychulca. W 1789 roku Petryki liczyły 18 domów i 116 mieszkańców; w 1854 roku – 17 domów i 189 osób. Na początku lat 80. XIX w. dobra Petryki z folwarkami Łyczyn i Ostrówek rozciągały się na 2542 morgach. Sam folwark petrycki zajmował 1928 mórg. Pola uprawne i ogrody obejmowały 514 mórg, łąki – 60 mórg, nieużytki z drogami i podwórzami – 75 mórg, lasy – 1279 mórg. Wówczas zabudowę majątkową stanowiło 27 budynków murowanych i 8 drewnianych, a w samej wsi było 12 domów i 150 mieszkańców. Z zabudowań folwarcznych z 2. połowy XIX w. zachowały się: piętrowy i murowany spichlerz, stodoła adaptowana na chłodnię (do której dobudowano w latach 80. XX w. magazyny i garaże), a także dwa domy robotników folwarcznych. Pierwszy to murowany czworak z 1. połowy XIX w., wzniesiony na planie wydłużonego prostokąta, a następnie przebudowany i rozbudowany w sześciorak. Natomiast drugi dom robotniczy – murowany, parterowy, z dachem dwuspadowym, położony przy skrzyżowaniu drogi do Zbierska z traktem do Przyrania – został wzniesiony w 2. połowie XIX w.

Petryki od wschodu otoczone są rozległym lasem łączącym się z lasem złotnickim. W 1920 roku lasy petryckie liczyły 1315 mórg. Natomiast siedem lat później obręb leśny Petryki wynosił 816 ha. W 1938 roku włości petryckie obejmowały 1277 ha, w tym 849 ha lasów. Wówczas w lasach petrycko-zbierskich chowano w stanie dzikim 100 danieli, 200 jeleni, 400 saren i 30 dzików.

W Petrykach zachował się budynek stacji kolejki wąskotorowej, pobudowany w latach 1914–1917 wraz z linią do Turku. Podczas wojny kolejka została zarekwirowana przez okupanta. Po wojnie uruchomiono ruch pasażerski oraz towarowy, który istniał do 1991 roku. Obecnie kolejka została reaktywowana przez Starostwo Powiatu Kaliskiego oraz Stowarzyszenie Kolejowych Przewozów Lokalnych z Kalisza. W okresie wakacji w każdą niedzielę można przejechać się nią do Zbierska. W Petrykach pobudowano również duże osiedle mieszkaniowe dla pracowników Państwowego Gospodarstwa Rolnego oraz hotel robotniczy, w którym obecnie znajduje się Dom Weselny „Eden”. Dla zaspokojenia potrzeb mieszkańców wsi w czasach PRL powstało, funkcjonujące do dziś, przedszkole i biblioteka publiczna oraz 4-klasowa szkoła podstawowa. Od 1974 roku do lat 90. XX wieku w budynku szkoły znajdowała się filia Zasadniczej Szkoły Rolniczej. Obecnie ulokowano tam mieszkania socjalne.



Zabudowania folwarczne w Petrykach. Fot. polskiekrajobrazy.pl



Stacja kolejki wąskotorowej w Petrykach. Fot. M. Gołembiewska

Bibliografia:

P. Sobolewski, „Wokół Stawiszyna” [w:] „Kalejdoskop kaliski” pod red. P. Sobolewskiego, Wydawnictwo Edytor, Kalisz 2015.

„Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” pod red. F. Sulimierskiego, B. Chlebowskiego, W. Walewskiego, Warszawa 1880–1914.

S. Małyszko, „Majątki wielkopolskie. Powiat kaliski”, Muzeum Narodowe Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego, Szreniawa 2000.

Marta Gołembiewska

Nowe oblicze zamku w Rytrze

Rytro odwiedzałem i odwiedzam. Rod początku lat 80. ubiegłego wieku. Zawsze spoglądałem w kierunku ruin zamku, które do niedawna trwały prawie niezmiennie. Prawie, ponieważ – jak to z ruinami budowli bywa – deszcz, śnieg, mróz, wiatr i chuligani zawsze mają nie mały wpływ na stan obiektu. Od niedawna (wiosna 2018) trwa odbudowa zamku, ale nie taka, jak w przypadku zamku w Bobolicach na Jurze, zrekonstruowanego od piwnic po dach. W przypadku Rytra jest to odbudowa częściowa. Polega na umocnieniu i fragmentarycznym odtworzeniu murów obwodowych, baszty i zachowanych murów wewnątrz zamku. Odtworzona zostanie także (prace w toku) brama wjazdowa. Wzgórze zamkowe zostało „odkrzaczane” i oczyszczone, powstała utwardzona droga prowadząca nań. Teren wewnątrz zamku jest uporządkowany i bezpieczny. Zainstalowano pomosty i barierki umożliwiające zwiedzanie obiektu. Można wejść z dziedzińca na poziom murów obwodowych; prawdopodobnie zostanie udostępniona także baszta. Dzięki wykonanym pracom czytelny jest plan obiektu, widać jak wyglądała zabudowa wewnętrzna. Inwestorem jest Gmina Rytró. Rzecz jasna, wszelkie prace są wykonywane pod nadzorem konserwatora zabytków i kontrolowane przez nadzór budowlany. Z pewnością obecny stan zamku zachęca do jego odwiedzenia. Stał się on prawdziwą atrakcją turystyczną Rytra. W przyszłości w zadaszonych wnętrzach będzie miała miejsce ekspozycja obiektów odkrytych podczas prac archeologicznych. Nie trzeba przekonywać, że jest to wspaniały punkt widokowy na Pasma Radziejowej w Beskidzie Sądeckim i na Dolinę Popradu. Uwaga dla zwiedzających – jak głósi legenda, (...) *wielkie skarby pozostawione*



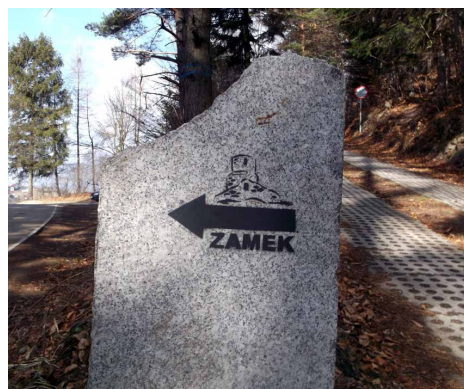
Rytro o zachodzie



Wzgórze zamkowe

w podziemiach zamku wciąż czekają na szczęśliwego znalazcę (...) – źródło: <https://zamki.res.pl/rytro.php>. Niemniej, uprzejmie proszę, by nie przychodzić na zamek z łopatą.

Juliusz Wystouch



Oryginalny drogowskaz



Dziedziniec i baszta

Tu kupujemy książki, gazety, pamiątki

Minęło już 70 lat od otwarcia w Warszawie u zbiegu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata pierwszego reprezentacyjnego Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy, czyli Empiku. Nad starym wejściem z podcieniowego przejścia na podwórko jest zabytkowa socrealistyczna mozaika. Ta osobliwa w krajobrazie stolicy instytucja kulturalna powstała na miejscu powojennych ruin kawiarni „Udziałowa” pod hasłem i z funduszy zapomnianej „zrzutki” złotych na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy (i było w tym budynku biuro tego funduszu).

Środki zbierano pod hasłem *Cały naród buduje swoją stolicę*. W końcu lat 50. budynek zajęła Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” na pierwszy w Warszawie Klub Międzynarodowej Prasy i Książki (to protoplasta działającego wiele lat i obecnie Empiku). Placówka nadal – choć po wielokrotnych zmianach wnętrza – mieści się pod tym samym adresem, który dobrze znają turyści odwiedzający Warszawę. Kultowe spacerunki po Nowym Świecie, odwiedziny w Muzeum Narodowym i Wojska Polskiego, wiadukt i most księcia Józefa Poniatowskiego, Stadion Narodowy – to klasyczne punkty dla krajoznawców z całego kraju i milionów gości z zagranicy.

Dawniej i w latach międzywojennych była w tym miejscu kawiarnia „Udziałowa” powstała z inicjatywy Stanisława Dobrowolskiego jako prywatna pijalnia... kefiru i kawiarnia. Szybko stała się bardzo popularna i modna właśnie z powodu nietypowego jadłospisu. Od 1884 roku można było zażywać mlecznych napojów i poczytać bogaty zestaw gazet, jak w podobnych miejscach w Wiedniu. Wieczorami pobyt gościom umilała orkiestra, a wśród bywalców zapisano Stefana Żeromskiego, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Władysława Reymonta, Bolesława Leśmiana.

Wypada wspomnieć, że było to w czasie międzywojnia, a także w latach 50. po otwarciu MPiK-u, miejsce wielu tradycyjnych spotkań grupy zwanej Hnitesa Klub, czyli towarzyszy turystycznych wędrowek górskich i nizinnych prowadzonych przez Mieczysława Orłowicza, jak on je nazywał, pod firmą Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Było to jedno z kilkunastu warszawskich miejsc spotkań towarzyskich „kompanii wycieczkowej Doktora”, przy kawie i pączkach. Czas wypełniały wspomnienia z wycieczek, planowanie kolejnych, przeglądanie fotografii pamiątkowych i redagowanie do nich podpisów. Około 1932 roku kawiarnia stała się „Café Clubem” znanym jako modny lokal z dansingiem.

Miejsce u zbiegu ważnych warszawskich ulic po raz pierwszy ukształtował znany architekt Henryk Marconi (1892–1863), projektując narożną czteropiętrową kamienicę. Ten włoski architekt wybrał sobie miejsce

do życia w Polsce i ozdobił Warszawę, Radom, Busko, Ciechanów kilkudziesięcioma wybitnymi budowlami. Wśród nich wyróżnia się np. gmach (ostatnio po wieloletnim remoncie i dobudowaniu ostatniego piętra) Hotelu Europejskiego przy Krakowskim Przedmieściu, a poza stolicą – pałac Paca w Dowspudzie na Suwalszczyźnie. Tworzył wybitne budowle o różnym przeznaczeniu, rezydencje, kościoły, budynki dla urzędów, dworce kolejowe, kamienice dla zamożnych. Znaczna większość jego dzieł ma obecnie status dobrze utrzymanych zabytków, świadczących o jego mistrzostwie.

W latach okupacji hitlerowskiej „Café Club” był kawiarnią i miejscem rozrywek „tylko dla Niemców”. Dwukrotnie stał się punktem akcji odwetowych polskiego podziemia zbrojnego. Pierwsza miała miejsce 24 października 1942 roku w odwecie za publiczną egzekucję 16 października 1942 roku grupy politycznych więźniów Pawiaka. Od wrzuconych do wnętrza granatów zginęło kilkunastu hitlerowców. Druga akcja, 14 lipca 1943 roku, była odwetem za mord na więźniach z łapanek ulicznych.

Tradycje kawiarni w kamienicy odbudowanej z gruzów przejęła na wiele lat po wojnie placówka kulturalna ciesząca się znaczną popularnością, niejako wzorowana na funkcji tej sprzed wojny. W latach 1948–1950, po rekonstrukcji stylowych kamienic i pałacyków, przy Nowym Świecie 15/17, na miejscu dawnego baru mlecznego, stanął – obecnie charakterystyczny – budynek narożny w stylu socrealistycznym, według projektu Zygmunta Stępińskiego i Mieczysława Kuźmy. W 1946 roku kamienica została zwrócona dawnym właścicielom, a w 1950 ruina stała się własnością Skarbu Państwa i niszczy się po zwróceniu spadkobiercom.

Nietypowe podcieniowe połączenie z podwórkiem i sąsiednim potężnym budynkiem od strony Alej Jerozolimskich dziś zdobi piękna mozaika, która powstała w 1964 roku. Zaprojektowana została przez plastyka Władysława Zycha, a z powodu jego przedwczesnej śmierci dokończona przez jego żonę Zofię. To bardzo rzadkie w krajobrazie architektonicznym stolicy dzieło plastyczne o dużej powierzchni, jest namiętnie fotografowane nie tylko przez japońskich turystów, ale i studentów uczelni plastycznych wielu krajów.

Niestety, kamienica wraz ze swoim reprezentacyjnym Empikiem nie przynosi sławy jej gospodarzom. Od wielu lat jest przedmiotem powolnego, skomplikowanego procesu reprivatyzacji. Pomimo powrotu do spadkobierców dawnych właścicieli, jest zaniedbana, bowiem nie stać ich na bardzo kosztowną renowację. Ich spór z miastem o zwrot działki lub zadośćuczynienie trwa od wielu lat bez dobrego skutku. W ten sposób cierpi też substancja wielu innych budynków warszawskich. Coraz mniej wygląd kamienicy i stan zachowania świadczy o jej dawnej świetności. Przez wiele lat oplatały budynek metalowe rusztowania i dach z desek, chroniący przechodniów przed spadającymi z elewacji kawałkami tynku i wodą deszczową. Rusztowania zniknęły, ale stan budynku nie poprawił się i np. przy głównym wejściu i narożnych wystawach od strony Nowego Świata straszą dowody zaniedbania – stare cegły bez pokrywy tynku. Zniknęły ozdobne boniowania elewacji ścian kamienicy.

Charakterystyczny budynek w krajobrazie tej części centrum Warszawy nie mieści dziś starej czytelnicy gazet polskich i obcojęzycznych. Symboliczną kawiarnię na piętrze zastąpiła na kilkanaście lat popularna cukiernia i miejsce spotkań na parterze, ale ich też już nie ma. Wewnątrz są dwa piętra i podziemna księgarnia, zaś na parterze – salon z milionem kosmetyków i księgarnia połączona z punktem sprzedaży pamiątek, galanterii papierniczej i wszelkiego „badziewia”. Od maja 2014 roku budynek z klubem i księgarnią dzierżawią prywatni użytkownicy od Zarządu Mienia m. st. Warszawy. I oni nie zamierzają podjąć się skutecznej ochrony i odnowienia budynku. Taka sytuacja skutecznie hamuje naprawianie coraz większych szkód w substancji budowli.

Tomasz Kowalik

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Po Górze Przedziwnej błędząc

Beskid Niski to góry najniższe w całym potężnym łuku Karpat. Są to jednak również góry będące najbardziej rozległym pasmem górskim w całych Karpatach. Beskid Niski od zachodu graniczy z Beskidem Sądeckim (Przełęcz Tylicka), zaś od wschodu z Bieszczadami (Przełęcz Łupkowska). Po polskiej stronie najwyższym szczytem jest Lackowa (997 m n.p.m.), natomiast po stronie słowackiej Busov (1002 m n.p.m.).

Mało znaną częścią Beskidu Niskiego, wysuniętą najbardziej na północ, są Wzgórza Rymanowskie. Po między nimi usytuowane są uzdrowiska Iwonicz-Zdrój i Rymanów-Zdrój. W rejonie Wzgórz Rymanowskich można odbyć wiele ciekawych wycieczek. Tym razem proponuję trasę okrężną wokół Góry Przedziwnej (*Mons Admirabilis*) liczącej 551 m n.p.m., a położonej nad Iwoniczem-Zdrojem.

Słów kilka o iwonickich wodach

Iwonicz-Zdrój należy do najstarszych polskich uzdrowisk. Przekazy historyczne dowodzą, iż lecznicze wody iwonickie znane były już w piętnastym wieku. Wieść o nich rozniosła się za rządów króla Zygmunta I Starego (1505–1548). Wojciech Oczko (1537–1599), lekarz nadworny króla Stefana Batorego, w pierwszym dziele balneologicznym napisanym w języku polskim pt. „Cieplice” (Kraków 1578) opisał dobroczynne skutki wynikające ze stosowania iwonickich wód do celów leczniczych. Jako że brakuje innych dokumentów na temat lecznictwa w Iwoniczu, datę opublikowania pracy Wojciecha Oczki (czyli 1578 r.) przyjmuje się symbolicznie za potwierdzony początek funkcjonowania uzdrowiska.

Lekarz królowej Marii Kazimiery (Marysieńki Sobieskiej), Charles-Louis de Conrad, przesłał opis dotyczący wody iwonickiej Jeanowi-Baptiste Denysowi (1643–1704), nadwornemu lekarzowi króla Ludwika XIV. Opis ten pt. „Ciekawe opisanie źródła płonącego i leczniczego w Polsce” umieszczony został w zbiorze „Acta Eruditorum”, dzieł lekarskich opublikowanych w Lipsku w roku 1684. W owej pracy pojawia się określenie *Mons Admirabilis* – Góra Przedziwna, Cudowna poniżej fragment:

...W województwie krakowskim, w Małopolsce, znajduje się góra zwana cudowną, pokryta trawami i kwiatami zarówno aromatycznymi (leczniczymi, korzennymi), jak i pachnącymi, a także wiekowymi dębami, jodłami i świerkami, tryskająca źródłami tak słodkimi, jak i słonymi, bogata w różnego rodzaju metale i minerały. W połowie południowego stoku tej góry tryska pewne źródło bardzo czystej wody, z szumem i wyraźnym kipieniem. Kipienie to, albo burzenie się, wzmacnia się w miarę jak księżyc dobiega pełni, a przy ubywaniu księżycy powoli cofa się, opada. ...Woda ta może być daleko przewożona i dość długo przechowywana bez zepsucia. (cyt. za: <http://www.niedziela.pl/artukul/497/nd/Mons-Admirabilis---Gora-Przedziwna>).

Na szlaku

Wycieczkę rozpoczynamy w centrum Iwonicza-Zdroju. W pierwszej fazie wędrówki towarzyszyć nam będą znaki niebieskie ścieżki spacerowo-przyrodniczej. Mijamy kino o wdzięcznej nazwie „Wczasowicz”, altanę i wchodzimy na teren parku zdrojowego. Znaki na drogowskazie kierują nas w stronę Źródła Bełkotka. Podążamy chodnikiem przez pięknie utrzymany park zdrojowy, mijamy po drodze liczne



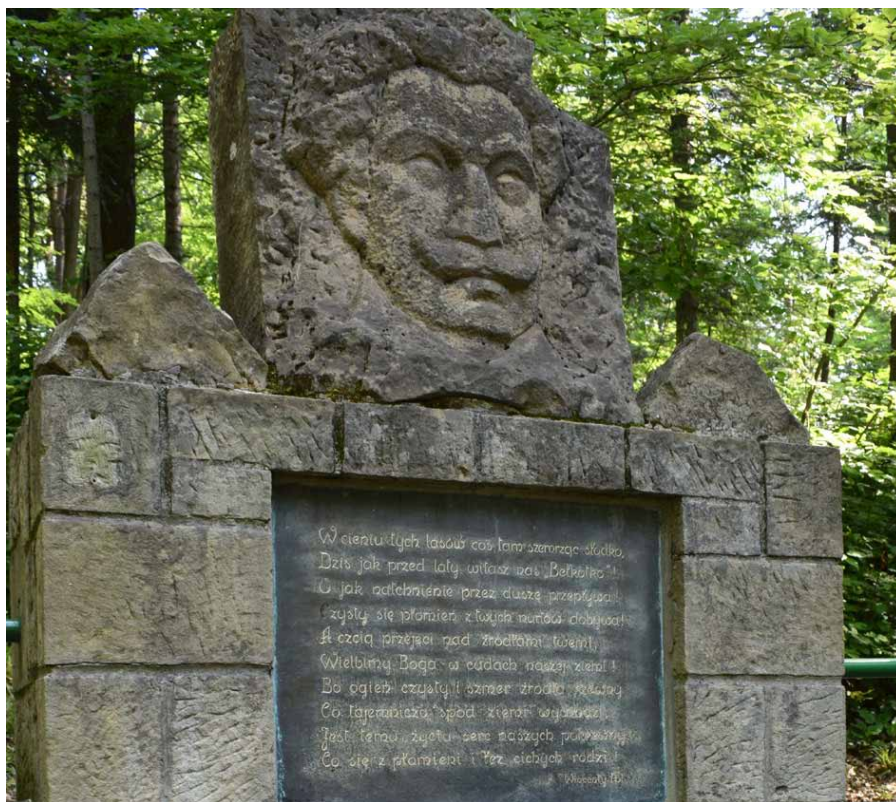
Drogowskaz w Iwoniczu Zdroju

fontanny i niebawem po schodkach wydostajemy się na szeroki gości-niec. Po prawej stronie na wzniesie-niu widzimy sanatorium „Piaś”. Po lewej zaś stronie na stoku – pozosta-łości dawnej warzelni soli (która ak-tualnie ma swą siedzibę w niedalekiej Lubatówce). Szlak w dalszej części wiedzie przez mieszany las obfitu-jący w wysokie okazy różnych ga-tunków drzew. Okolica jest niezwy-kle urokliwa. Wkrótce docieramy do Źródła Belkotka leżącego na stoku Góry Przedziwnej. Już z daleka wi-dać drewnianą wiatę.

Źródło Belkotka to najstarsze źródło w okolicach Iwonicza-Zdroju. Gdy uważnie wsłuchamy się w od-głosy dobiegające ze źródła, wów-czas usłyszymy i zobaczymy bulgota-nie, „belkot” wody. Są to pęcherzyki metanu – gazu ziemnego, wydoby-wającego się z wnętrza źródła. Trud-no sobie to wyobrazić, ale jeszcze w połowie XIX wieku podpalony gaz palił się płomieniem niemal metro-wej wysokości. Z czasem, gdy rozpoczęto w okolicy źródła eksploatację ropy naftowej, wielkość powierzchni płonącej znacząco zmalała. Aktualnie ilość wydobywającego się gazu jest na tyle niewielka i jego stężenie na tyle małe, że nie można go już zapalić. Źródło otoczone jest kamiennymi blokami i ogrodzone żelaznym płot-kiem. W ogrodzenie wkomponowano obelisk z płytą, na której wyryto fragment pięknego wiersza Wincen-tego Pola (1807–1872), poświęcony Belkotce: *W cieniu tych lasów, coś tam szmerząc słodko, Dziś, jak przed wieki, witasz nas Belkotko! O! – jak natchnienie przez duszę przepływa, Czysty się płomień z twych nurtów dobywa; A wciąż przejęci nad źródłami twemi, Wielbimy Boga w cudach naszej ziemi, Bo ogień święty i szmer źródła rzewny, Co tajemniczo z pod ziemi wychodzi, Jest temu życiu serc naszych pokrewny, Co się z płomieni i lez cichych rodzi.*

Spod Źródła Belkotka warto udać się na sam szczyt Góry Przedziwnej (551 m). Dotrzemy tam w niedłu-gim czasie i przekonamy się o przedziwności owej góry. Ze szczytu proponuję skierować się za znakami zielo-nymi ścieżki przyrodniczej na Żabią Górę. Po drodze mijamy Ośrodek Szkoleniowy „Leśniczówka”, niegdyś pełniący rolę ośrodka rządowego związanego z osobą premiera PRL (1970–1980) Piotra Jaroszewicza, który podjął decyzję o utworzeniu obiektu (stąd dawna nazwa „Jaroszewiczówka”). Gościły tu prominentne osobi-stości nie tylko ze świata polityki, ale również znani artyści. W krótkim czasie od leśniczówki wychodzimy na odkryty teren i naszym oczom ukazuje się Żabia Góra. Ścieżka pro-wadzi wśród pól, by niebawem dotrzeć do widokowego szczytu, na którym znajduje się tablica informac-yjna i krzyż.

Ze szczytu Żabiej Góry (549 m) rozpościera się przepiękna panora-ma. Bez wątpienia największe wra-żenie wywiera imponująca sylwetka



Fragment wiersza W. Pola





Widok z Żabiej Góry na Cergową

Cergowej (716 m) i jej zachodnia ściana: kto próbował się wdrapać na nią z ciężkim plecakiem w upale, ten wie, w czym rzecz.

Po odpoczynku na Żabiej Górze schodzimy w dół wyraźną ścieżką sprowadzającą nas do drogi Iwonicz-Zdrój – Lubatowa. Gdy do niej dotrzemy, skręcamy w lewo i kierujemy się do centrum Iwonicza-Zdroju, po drodze mijając amfiteatr i pozostałości dawnych skoczni. W ten sposób zatoczyliśmy pętlę wokół Góry Przedziwnej. Góra ta stanowiła (i wciąż stanowi) niewyczerpane źródło inspiracji. Dobrym tego przykładem jest powstanie w 2012 roku w Iwoniczu-Zdroju wydawnictwa biorącego od niej nazwę – Mons Admirabilis – kierowanego przez znanego redaktora Janusza B. Roszkowskiego, który opublikował już ponad dwadzieścia książek. Zapewne moc Góry Przedziwnej sprawi, że jeszcze niejeden tytuł ujrzy światło dzienne. Sama góra zaś zaprasza w odwiedziny przez cały rok.

Czas przejścia (bez postojów)

Iwonicz-Zdrój – Źródło Bełkotka – Góra Przedziwna – Żabia Góra – Iwonicz Zdrój; szlak niebieski, zielony, czerwony: 2 godz. 30 min.

Dojazd

Dysponując własnym autem i jadąc z centralnej Polski najłatwiej skierować się na Katowice. Jadąc stamtąd autostradą A4 mijamy Kraków, Tarnów, a następnie skręcamy na węźle dębickim w prawo, w drogę 985, którą dojeżdżamy do drogi 94; tu odbijamy w lewo, zaś niedługo potem, w Lubzinie – w drogę 986, która doprowadzi nas do Wiśniowej. Potem kierujemy się na Krosno, mijamy Miejsce Piastowe i z drogi 28 zjeżdżamy do Iwonicza, by w końcu dojechać do Iwonicza-Zdroju.

W wędrówce po Górze Przedziwnej i okolicach przydatna będzie mapa „Iwonicz Zdrój i okolice” wydana przez wydawnictwo Compass, a dostępna w księgarniach, sieci „Sklepów Podróżnika” lub też na stronie internetowej wydawnictwa Compass.

Sebastian Jakobschky



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Z maczetą do lata

„Piechotą do lata” to tytuł pierwszego wielkiego przeboju zespołu BAJM. „Z maczetą do lata” to tytuł tego odcinka będący wnioskiem z tego, co widziałem w marcu w górach. Tak się złożyło, że, aby przejść niektóre odcinki szlaków czy górskich dróg, należałoby wziąć maczetę, a najlepiej piłę łańcuchową. Liczne doniesienia z różnych części Beskidów, relacje GOPR i mediów informowały o znacznych utrudnieniach w poruszaniu się pieszych turystów po szlakach. Było co najmniej kilkanaście informacji o problemach turystów niebędących w stanie kontynuować wędrówki z powodu głębokiego śniegu i szlaków zatarasowanych powalonymi drzewami. To wszystko skutki obfitych opadów śniegu, które miały miejsce w lutym. Także ratownicy górscy, dysponujący przecież odpowiednim przygotowaniem, doświadczeniem, a przede wszystkim umiejętnościami i sprzętem, mieli duże problemy z dotarciem do poszkodowanych. Przez grubą warstwę śniegu nie mogły przebić się quady na kołach, na gąsienicach ani skutery śnieżne. Najpoważniejszą przeszkodą były wspomniane powalone drzewa. Żaden pojazd nie był w stanie pokonać zawałonego drzewami szlaku. Do poszkodowanych docierano w końcu pieszo – na nartach.

Już w lutym bądź na początku marca ruszyły prace w lasach – ścinka i zwózka drewna. Prowadzone były planowe wycinki i częściowo udrażnianie szlaków. To jednak poboczna działalność leśników. Trudno przewidzieć, czy i kiedy leśnicy ruszą z piłami na szlaki turystyczne. Należy się zatem spodziewać, że wiele szlaków jeszcze wiosną i latem będzie przegrodzonych drzewami. Zapewne powstaną liczne predepty-obejścia, które będą znacznie wydłużać czas wędrówki poszczególnymi szlakami. Przypominam sobie, jak przed kilku laty szliśmy szlakiem od Przełęczy Knurowskiej na Studzionki. Krótki, prosty odcinek zniknął pod powalonymi drzewami. Jego przejście to był slalom-gigant, który wydłużył trasę o co najmniej pół godziny. Z relacji turystów biorących udział w XIX Spotkaniu Śladowym wiem, że sporo utrudnień jest na stokówkach trawersujących Radziejową w Beskidzie Sądeckim. Słyszałem, jakie problemy mieli ratownicy w dotarciu do turysty, który potrzebował pomocy wędrując z Rytra przez Halę Konieczną na Przehybę. Będąc właśnie na Przehybie wybrałem się na krótką wycieczkę w kierunku „Krzesła św. Kingi” Zamierzałem później przejść drogą stokową trawersującą od północy szczyt Skalka w kierunku Przełęczy Przysłop i Dzwonkówki. Najpierw zobaczyłem powaloną przez grubą warstwę śniegu wiatę ołtarza polowego. Wszedłem na wspomnianą drogę. Po kilkudziesięciu metrach dałem spokój. To nie śnieg stanowił przeszkodę – używałem przecież nart śladowych, które pozwalają na dość swobodne poruszanie się po nim. Przeszkodą były drzewa leżące w poprzek drogi co kilka, kilkanaście metrów (zdjęcie). Dalsza wędrówka nie miała sensu.

Owa symboliczna tytułowa maczeta na pewno nie wystarczy, by przedrzeć się przez niektóre fragmenty szlaków. Byłoby wskazane, by przed wyjazdem w góry zasięgnąć informacji o drożności szlaków dzwoniąc lub pisząc do odpowiedniej grupy GOPR. Warto śledzić strony Facebooka GOPR-u, tam także znajdziemy wiele ważnych informacji o stanie szlaków.

Z pewnością latem łatwiej będzie przejść nawet fragmenty szlaków z leżącymi w poprzek drzewami. Zimą dodatkowym utrudnieniem był głęboki śnieg. Wielu turystów zapadało się po pas próbując omijać przeszkody, to dlatego ratownicy mieli tyle roboty. Oby latem było inaczej.

Juliusz Wysłouch



Gruzińską Drogą Wojenną pod Kazbek

Słynna Gruzińska Droga Wojenna to dziś (po utracie kontroli nad Abchazją i Południową Osetią) jedyny szlak drogowy z prawdziwego zdarzenia, łączący Gruzję z Rosją. Wprawdzie oba państwa nieszczerze się obecnie lubią, ale handel ma swoje wymogi, a i wzrastający z roku na rok ruch turystyczny również wymaga utrzymania tej drogi w należytym stanie.

Sama nazwa wskazuje, po co droga powstała: rosyjskie imperium rządzone przez Katarzynę II Wielką potrzebowało, na wypadek wojny z Persją lub Turcją, dostępu do Zakaukazia. W 1769 r. późniejszy feldmarszałek Grigorij Potiomkin rozkazał podjęcie prac nad przebudową tzw. Drogi Darialskiej (nazwa od długiego na 8 km Wąwozu Darialskiego – *Porta Caucasica* u Strabona), zakończonych dopiero w 1814 r.

Tą drogą, krótko przedtem ponownie przebudowaną i poszerzoną (na jednym z mostów widziałem datę 1864), podążali w czerwcu 1868 r., doświadczeni już wówczas, angielscy alpiniści D. W. Freshfield, A. W. Moore i C. C. Tucker wraz z francuskim przewodnikiem z Chamonix, F. Devouassoudem. Wspinając się szlakiem wykutym w urwistych zboczach musieli minąć umieszczoną nad drogą marmurową tablicę z nazwiskiem inż. Bolesława Kościeszy-Statkowskiego (1825–1898), Polaka urodzonego w Pińsku, który był jednym z głównych budowniczych tej drogi. Wyglądając dziś z wolno sunącego busika w przepaścisty kanion Tetri Aragvi aż trudno uwierzyć, że w początkach XX w. Rosjanie planowali wybudowanie tu linii kolejowej! Pierwszymi studiami w tym zakresie kierował Fin polskiego pochodzenia, Ferdynand Rydzewski (1833–1910), skądinąd w latach 1886–1890 budowniczy najdłuższego w Gruzji, czterokilometrowego kolejowego tunelu suramskiego, a od 1892 r. dyrektor Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W dalszych pracach nad tym projektem, zarzuconym ostatecznie po wybuchu I wojny światowej, brał udział kolejny Polak, młody inżynier Edmund Chwaściński (1863–1940).

Powyżej ośrodka narciarskiego Gudauri, dość smutnie wyglądającego latem, mijamy rzucającą się w oczy po lewej w dole oryginalną, okrągłą platformę widokową. W 2017 r. była ona niedostępna – cały obiekt poddano generalnemu remontowi. W roku 2018 można już było rozkoszować się z niej panoramą zielonych grzbietów tej części Kaukazu. Po chwili droga przestaje się wznosić: to Przełęcz Krzyżowa, czyli Dźwari (ang. *Jvari Pass*, 2379 m). Przekraczamy główny grzbiet Kaukazu i rozpoczynamy zjazd ku dolinie *Tergi* (gruzińska nazwa Tereku), wiodącej na północ, ku granicy gruzińsko-rosyjskiej i dalej do Władykaukazu w Osetii Północnej. Nieco niżej zwraca naszą uwagę zbliżająca się wielka, żółta plama. Zatrzymujemy się na skraju szerszej w tym miejscu drogi, by z bliska obejrzeć ogromne pole trawertynowe – dowód występowania w tej części gór obfitych źródeł mineralnych.

Wspomniani wyżej angielscy alpiniści stanęli w końcu w niewielkiej osadzie zwanej Stepancmin-da, skąd w towarzystwie miejscowych tragarzy rozpoczęli wspinaczkę w górę lodowca Gergeti, zakończoną 1 lipca pierwszym udokumentowanym wejściem na Kazbek (5034 m n.p.m.). My również pójdziemy ich śladami, jednak nie aż tak daleko.

Stepancmin-da (czyli „Święty Szczepan”) to dziś blisko dwutysięczne, nieco zakurzone miasteczko, noszące



Kościółek Świętej Trójcy;

znów od 2006 r. swą dawną nazwę (w latach 1925–2005 istniało jako Kazbegi). Leży na wysokości ok. 1780 m n.p.m. Dysponuje niezłą bazą noclegową, od luksusowego hotelu (od 250 dolarów za pokój – ceny z 2017 r.) po skromne, lecz przytulne pensjonaciki (30 lari od osoby za noc; śniadanie 10 lari, obiadokolacja 15 lari). Jak sądzę, w sezonie letnim ludność Stepancmindy wzrasta o jakieś 20–25 procent – nadwyżka ta niezbędna jest do obsługi szybko rosnącego ruchu turystycznego. Codziennie pojawia się tu bowiem nawet do kilkuset turystów – czy to udających się stąd na północne stoki Kaukazu, do Rosji, czy też zatrzymujących się w celu poznania miejscowych atrakcji. U tych drugich pierwsze miejsce zajmuje XIV-wieczny kościół i klasztor Świętej Trójcy w Gergeti, po gruzińsku *Cminda Sameba* (dla mniej ambitnych) lub szczyt Kazbeku (dla tych bardziej ambitnych).



Rankiem Cminda Sameba też ma swój urok!

Jedni i drudzy muszą pokonać 400-metrowe podejście (lub podjazd) ze Stepancmindy do kościoła leżącego na wysokim wzgórzu ponad samą wsią. Gergeti to niewielka wioseczka, uczipiona zbocza górskiego, z wąskimi, dziurawymi drożynami wijącymi się wśród bezładnej zabudowy, pośród której udaje mi się czasem wyłowić resztki dziewiętnastowiecznych (a może i starszych?) budowli. Wioska jest zgazyfikowana: wzdłuż wszystkich uliczek ciągną się esy-floresy rur, malowanych na umownie żółty kolor. Jak prawie w całej Gruzji, na terenach zagrożonych sejsmicznie, ze względu na bezpieczeństwo (nie mówiąc już o kosztach!) nie układa się instalacji gazowych pod ziemią.

Za czasów radzieckich opuszczona przez mnichów Cminda Sameba niszczała. W latach 1987–1988 r. na szczyt wzgórza świątynnego poprowadzono kolej linową. Mieszkańcy Kazbegi odebrali to jako profanację świętego miejsca i wymusili później demontaż kolejki (w czym pomógł im zapewne postępujący już wówczas rozpad Związku Radzieckiego). Została po niej betonowa przypora dolnej stacji. Jeszcze w 2005 r. wewnątrz opuszczonej Cmindy Sameby nocowali alpinisci wybierający się na Kazbek. Obecnie świątynia po rekonsekracji jest pod opieką kilku zakonników, którzy mieszkają w małym monasterze obok dzwonnicy.

Do Cminda Sameba można się dostać piechotą (z Stepancmindy blisko 1,5 godz.) lub samochodem. Dojazd możliwy jest tylko małymi pojazdami terenowymi z napędem na cztery koła. W Stepancmindzie jest takich pojazdów podobno około 300 – z czego przytłaczająca większość to model Delica Space Gear japońskiej firmy Mitsubishi, oferujący 6 miejsc dla pasażerów. Nie ma żadnego problemu z wynajęciem takiego pojazdu na centralnym placu miasteczka lub za pośrednictwem właścicieli pensjonatów. Z tej drugiej opcji – dla zaoszczędzenia czasu – korzystamy i my. Rankiem, kiedy promienie słońca wstającego za wysokim grzbietem górskim nie oświetliły jeszcze naszego pensjonatu, ładujemy się na pokład białej Deliki i ruszamy na podbój Kaukazu.



Początek trasy jest „mało kaukaski”...

Trasa wiedzie początkowo między zabudowaniami Gergeti, a następnie po stromym,

zalesionym zboczach. Droga (ba, czy to jest jeszcze droga?!!!) prowadzi licznymi zakosami, z których każdy kończy się ciasnym skrętem – niekiedy tak ciasnym, że trzeba go brać „na dwa razy”... Ciasna jest i sama droga (z zastrzeżeniem jw.): wydaje się, że z pojazdem nadjeżdżającym z przeciwka nie ma szans się wyminąć. A jednak... mijamy się!

Kościółek Świętego Krzyża leży na wysokości 2170 m n.p.m. Jest bodaj najczęściej fotografowanym obiektem w Gruzji – choć tu od razu uwaga: ze względu na położenie słońca najlepsze zdjęcia wychodzą dopiero po południu! Po obejrzeniu świątyni, która poza swoim wyjątkowym położeniem niczym innym nie zachwyca, ruszamy więc w stronę lodowca Gergeti. Trasa jest wybitnie spacerowa. Początkowo wiedzie stokiem długiego, łagodnego grzbietu. Jesteśmy już wysoko ponad granicą lasu. Pozostawiamy za sobą ostatnie zarośla krzaczastych wierzb. Odtąd podążamy przez górskie łąki, pełne piekielnie kolczastych ostów, wśród których w zagłębieniach terenu pojawiają się łąny ciemnicy i kępy płozących się przy ziemi rododendronów. Po przeciwnej stronie doliny dostrzegamy pasterza, powoli poruszającego się stokiem za swoim stadem owiec. Po ok. 1,5 godz. osiągamy przełęczkę z kapliczką na wspomnianym grzbiecie (Arsza, 2940 m).

Praktycznie przez cały czas towarzyszy nam widok na szczyt Kazbeku, nakryty śniegowo-lodową czapą, o który coraz to zaczepia się jakaś wędrowna chmura. To najłatwiejszy z kaukaskich pięciotysięczników, przeto ciągną tędy kawalkady potencjalnych zdobywców tej góry. Spędzają oni zwykle 2–3 noce w schronisku Betlemi (3670 m) lub biwakują obok niego w namiotach, by następnie około drugiej–trzeciej w nocy wyruszyć na szczyt (wejście zajmuje min. 6 godz.). Ostatnie dni nie przyniosły tu dobrej pogody i na przełęczy spotykamy pierwszych alpinistów, którzy po kilku dniach oczekiwania w schronisku schodzą bez osiągnięcia sukcesu.

Nam dziś pogoda sprzyja, więc szybko ruszamy dalej. Niebudzącym zaufania aluminiowym mostkiem pokonujemy burzliwy potok o mętnej wodzie, po czym wkraczamy na rumowisko moreny bocznej. Tu, po kolejnej półgodzinie, na wysokości ok. 3120 m kończymy eskapadę. Drugie śniadanie jemy delektując się jednocześnie widokiem potężnego Kazbeku – i zupełnie nieporuszającego, przyprószonego siwizną języka (nawet „języczka”!) lodowca Gergeti.

Podczas zejścia mijamy kolejne grupki niedośzłych zdobywców Kazbeku. Zdumiewająco wielu z nich mówi po polsku! Zawiedzeni, rozkładają się na słonecznym stoku susząc wilgotne namioty i śpiwory. W tym roku już raczej ponownie nie spróbują: 31 sierpnia to tutaj już koniec lata! Schodzimy wolniutko, podziwiając kępy dorodnych goryczek, które podobnie jak u nas są tu zwiastunem zbliżającej się jesieni. Ale cóż tam! Przed nami jeszcze inne, cieplejsze regiony Gruzji. W nieodległej Kachetii dopiero zaczynają dojrzewać pierwsze winogrona!

Mirosław J. Barański

Tablica ostrzegawcza przy szlaku z największymi literami po polsku...



Kazbek i jezioro lodowca Gergeti



Janusz zaprasza na Pojezierze Wałeckie

Nasza szefowa Bogda zna Janusza od dawna. Janusz, dziś emerytowany wojskowy, to wielki miłośnik i znawca Ziemi Wałeckiej, zwłaszcza w aspekcie historycznym i militarnym. Przez Ziemię Wałecką przebiegała część długiego pasa umocnień, wybudowanych przez Niemcy w latach 20. i 30. XX wieku. Ta potężna linia umocnień, w której dziś rozróżniamy Międzyrzecki Rejon Umocnień i Wał Pomorski, miała w zamysle twórców i budowniczych chronić Niemcy przed ewentualną napaścią ze wschodu. Niemcy mieli tu na myśli przede wszystkim Polskę, która po fantastycznym zwycięstwie nad bolszewikami była postrzegana jako kraj silny militarnie, na dodatek gotów zagrozić Niemcom. To drugie, to na pewno tzw. chwyt propagandowy, zwłaszcza od chwili dojścia hitlerowców do władzy. Ze swej strony dodam, że nie jestem specjalnym miłośnikiem historii wojskowości i wojen. Przyznam, że oglądanie tych wszystkich wymyślnych „zabytków techniki” służących toczeniu wojen, czyli po prostu zabijaniu ludzi, napawa mnie odrazą. Jednak trzeba znać dzieje własnego kraju, zwłaszcza gdy poznajemy historię wojen obronnych.

Ten dość długawy wstęp nie zapowiada dużej niespodzianki. A gdyby nie ten wstęp, niespodzianka byłaby jeszcze większa. Bo otóż na nasze 3. Letnie Krajoznawcze Spotkanie Rodzinne wybraliśmy się do... Szwecji! Tak! Do tej pory byliśmy za granicą raz w czeskich Jeseníkach, przy okazji naszych wypraw parę razy przekraczaliśmy granicę z Czechami, ale żeby od razu aż... do Szwecji? Ta rzeczywiście niesamowita lokalizacja ma proste wyjaśnienie. Otóż zjechaliśmy do Szwecji koło... Wałcza. Nie wiem skąd i dlaczego ta nazwa, wiem, że jechaliśmy tu – a przynajmniej ja – przede wszystkim na spływ kajakowy, który miał nam zorganizować właściciel agroturystyki „U Gienka” położonej właśnie w Szwecji nad uroczą i, jak się później okazało, całkiem kapryśną rzeką Piławą.

Zbiórkę wyznaczaliśmy sobie na dworcu PKP w Wałczu. Dworzec ten to budowla okazała i na pewno zabytkowa, ale w ruinie. Tu się tylko wsiada do pociągów i z nich wysiada. My wysiedliśmy i po czułych powitaniach – wszak nie widzieliśmy się co najmniej kilka miesięcy – wyruszyliśmy na szlak. Janusz poprowadził nas piękną trasą wzdłuż Jeziora Zamkowego. Obiektem, w którym zatrzymaliśmy się dłużej, było Muzeum Ziemi Wałeckiej. Znajduje się w nim ciekawa wystawa geologiczno-archeologiczna, obrazująca dzieje geologiczno-przyrodnicze tej ziemi i historię osiedlania się tu ludzi od najdawniejszych czasów. Absolutną niespodzianką jest bardzo bogata wystawa rowerów, od zupełnie archaicznych modeli począwszy. Trzeba przyznać, że z dużym rozrównieniem wspominaliśmy stare typy jednośladów, na których jako „małolaty” jeździliśmy po podwórkach naszych dziadków.

Drugi dzień spotkania to czas bogaty i różnorodny. W Wałczu poznaliśmy Grupę Warowną Cegielnia. Tu – oprócz starego, zrujnowanego bunkra – można obejrzeć stare pojazdy wojskowe. Teren jest zadbane i zwiedzanie dobrze zorganizowane, co jest niewątpliwie zasługą pasjonatów, takich jak nasz przewodnik Janusz. Byliśmy przy służbie na Piławie. O dziwo, ta służba to też część umocnień Wału Pomorskiego. W lesie, w Brzeźnicy-Kolonii, mogliśmy całkiem spokojnie wejść do



Rezerwat „Diabli Skok” – królestwo bobrów

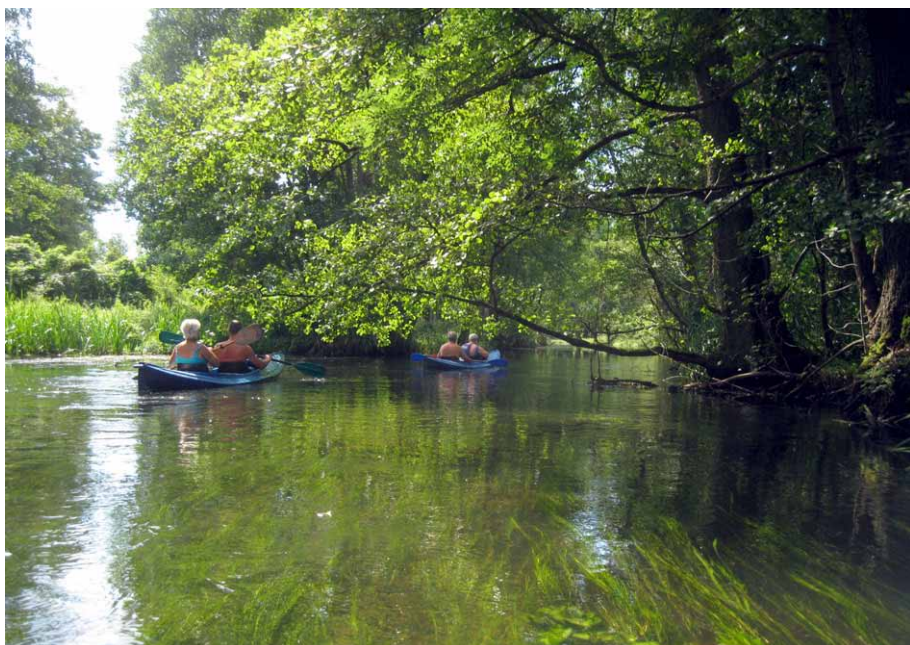
magazynów głowic atomowych, wybudowanych przez Rosjan w wielkiej tajemnicy po II wojnie światowej. A w Bornem Sulinowie – byłej bazie Północnej Grupy Wojsk Radzieckich – kto chciał, zwiedził kosztowną wystawę posowieckich „pamiątek”. Natomiast już wszyscy zasiedliśmy w restauracji „U Saszy”, prowadzonej przez byłego mieszkańca tego sowieckiego miasteczka. Przypomniałem sobie tu, że Borne Sulinowo współcześnie promuje się na targach turystycznych Tour Salon w Poznaniu bardzo po rosyjsku (cokolwiek przez to rozumieć) – od wystroju stoiska poprzez muzykę, tańce, aż do degustacji *wodki*.

Najbardziej godnym uwagi miejscem, które wszystkich urzekło, był rezerwat przyrody „Diabli Skok”. Liczy prawie 21 ha – my poznaliśmy malutętki jego fragment, ale bodaj najwspanialszy. Zejście w kilkudziesięciometrowy jar przypomniało nam nasze górskie korzenie. Rezerwat chroniący las mieszany porastający zbocza stromego jaru, z drzewami pomnikowymi, z licznymi źródłami i ciekami wodnymi – to siedlisko bobrów, które tu urządzają po swojemu swój świat. My byliśmy tylko gośćmi.

Poniedziałek 13 sierpnia 2018 r. przejdzie do naszej, zdeklarowanych górolazów, historii jako dzień przemiany w wodniaków. Tu zrealizował się ten gwóźdź programu, który przyciągnął nas do Szwecji. Dla wielu z nas pływanie kajakiem to jakieś mgliste wspomnienia z dzieciństwa, a spływy kajakowe to zupełna abstrakcja. A tu, proszę, mamy spływ i to od razu całkiem solidny, bo 19 km od Nadarzburg do Szwecji. Koryta użyczyła nam przepiękna rzeka Piława, która tu ma nawet zaszczytny status rzeki górskiej. Ja dużo pływałem w życiu kajakami, mam wiele niezwykłych wspomnień, ale w takim zdarzeniu brałem udział pierwszy raz. Rzecz-

ka, no, może rzeka (bo ponad 80 km długości i ten status rzeki górskiej), płynie sobie niby wolno, ale jej nurt główny meandruje i wystarczy chwila nieuwagi, by wbić się dziobem kajaka w jeden z brzegów. Bo to nie jest tak, jak na jeziorze, że kajak płynie sobie prosto. Tu, na rzece, potrzeba dużo siły i wprawy, żeby płynąć wzdłuż, a nie w poprzek czy po skosie. Prędko zrozumieliśmy, o co chodzi. I wtedy mogliśmy bardziej chłonąć piękno chwili. Rzeka jest płytka, zarośnięta podwodnymi roślinami. Przywodzi to na myśl łąki asfodelowe Pól Elizejskich w Hadesie. Cały ten 19-kilometrowy odcinek Piławy wiedzie lasem, więc starożytność i współczesność przeplatają się w sposób niezwykły – to kraina jak z baśni. I ten zimorodek – tutejszy rajski ptaszek – który podfruwał przed nami przez prawie kilometr i ani razu nie dał się sfotografować. Chyba postanowił, że pozostanie tylko w naszej pamięci.

19 kilometrów to dużo, jak na pierwszy raz, zmęczenie dawało się mocno we znaki. Z perspektywy czasu jednak uważam ten spływ za wspaniałą przygodę, dającą dodatkowo takie oto doświadczenie życiowe, że my, kilkudziesięciolatki, jeszcze całkiem dużo potrafimy i możemy.



Spływ kajakowy to miła odmiana dla górolazów



Podwodne łąki Piławy

Następnego dnia prawie wszystko nas bolało, ale znaleźliśmy dość sił, by nie zawieść Janusza. Więc przeszliśmy dość długą trasę – to tzw. trasa J-3, czyli „Przesmyk Morzyca” – od Zdbic począwszy. Tutaj 4 lutego 1945 r. rozegrała się jedna z najkrwawszych bitew o przełamanie Wału Pomorskiego – mówi się, że właśnie tu Wał został przełamany. Bój był krwawy: tylko na odcinku Tuczo – Nadarzyce poległo ponad 2000 tysięcy żołnierzy polskich i sowieckich. Dziś jest w tym miejscu Skansen Bojowy 1. Armii Wojska Polskiego, a w nim Izba Pamięci. Poznanie tej trasy to ważne doświadczenie – tu nasi rodacy walczyli i ginęli dla naszej Ojczyzny.

Rozstawaliśmy się w Pile – dość dużym, jak na polskie uwarunkowania, mieście. Zaciekały nas ekspozycje w Muzeum Regionalnym, dowiedzieliśmy się, że w 1945 roku, już pod koniec wojny, ogłoszono Piłę miastem-twierdzą i włączono w skład umocnień Wału Pomorskiego. Piła miała mało szczęścia – już od I rozbioru Polski, tj. od 1772 roku pozostawała po pruskiej, a potem niemieckiej stronie – aż do roku 1945. Dziś jest ładnym, prężnym miastem, o czym mogliśmy się przekonać, a utwierdziła nas w tym ostatecznie uroczą przejażdżka tramwajem wodnym „Gordalina”

I to był ostatni, jakże miły, akcent naszego spotkania. Było to spotkanie pod każdym względem – przyrodniczym, historycznym, krajoznawczym, sportowym – bogate; naprawdę duże nagromadzenie wszelkich atrakcji!

Rozstawaliśmy się uśmiechnięci, że tak fajnie spędziliśmy wspólne chwile i spokojni, bo już za dwa miesiące znów się spotkamy. Nasze Krajoznawcze Spotkania Rodzinne to wspinała idea!

Sławomir Chojnacki

Nadanie imienia Dorothei Rohrbeck alejom parkowym we Wleniu

We wtorek 19 lutego 2019 roku we Wleniu miało miejsce niecodzienne wydarzenie. Otóż właściciele Pałacu Książęcego – Bożena i Sławomir Osieccy – postanowili nadać alejom parkowym imię Dorothei Rohrbeck – ostatniej przedwojennej właścicielki pałacu, pochodzącej z bardzo zamożnej berlińskiej rodziny. Jej rodzice posiadali duży majątek w Berlinie. Prowadzili działalność rolniczą, jednak gdy ceny gruntów poszybowały do niebotycznych wysokości – sprzedali swoje pola i postanowili inwestować w inne dziedziny życia. Stali się właścicielami wielu bardzo atrakcyjnych posesji w Berlinie. Dochody, jakie osiągalni dzięki temu, pozwoliły im nabyć spory majątek w okolicach Wlenia. Stali się także właścicielami pałacu. Niestety, rodzice Dorothei zmarli zanim ta osiągnęła wiek dojrzały. Co prawda starali się zabezpieczyć jej byt powierzając sprawy spadkowe prawnikom, ale jak się okazało – niezbyt uczciwym. Majątek pozostawiony Dorothei był bardzo pokaźny, więc od razu pojawili się chętni do sięgnięcia poń. Spadkobierczyni zaś żyła w biedzie, bowiem w myśl prawa nie mogła bezpośrednio korzystać z odziedziczonego majątku. Przepisy pozwalały jej wprawdzie dysponować jakimiś kwotami na cele społeczne, jednak na swoje własne potrzeby miała do dyspozycji tylko rentę, która wciąż pozostawała na niezmiennym poziomie, mimo dewaluacji pieniądza.

Gdy Dorothea odrzuciła propozycję małżeństwa Petera Grupena, ten postanowił ją zamordować. Wykorzystał do tego swoje zdolności hipnotyzerskie – zniwolił umysł kuzynki Dorothei, Urszuli, i spowodował, że ta zastrzeliła ją, a później siebie. Początkowo nie dysponowano dowodami obciążającymi Grupena, jednak sąd w Jeleniej Górze po powołaniu biegłych orzekł w tym względzie, że jest on winny tej niesamowitej zbrodni.



Od tej pory duch Dorothei krąży po pałacowych komnatach. Nawet dzisiaj, gdy pałac ma nowych właścicieli, którzy odremontowany obiekt przekształcili na ładny hotel, duch wciąż pokazuje się jego gościom.

Właściciele pałacu, Bożena i Sławomir Osieccy, na uroczyste nadanie alejkom parkowym imienia Dorothei zaprosili wszystkich, którym bliska jest jej postać. Uroczystość rozpoczęła się w samo południe, kiedy to dzwon poświęcony Dorothei, umieszczony na wieży kościoła św. Mikołaja Biskupa we Wleniu, rozbrzmiał pięknym, metalicznym głosem. Już sam fakt, że ostał się z wojennej zawieruchy, jest niesamowity.

Gdy ustało brzmienie dzwonu, ksiądz Krzysztof odprawił mszę świętą. Następnie wszyscy przejechali pod pałac, gdzie ksiądz poświęcił zarówno alejki, jak i tablicę pamiątkową. Wspomnę tylko, że tablicę ufundował pan Paweł Chmurzyński, właściciel firmy „Signum” produkującej oznakowania drogowe, członek Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków.

Po uroczystości goście zostali zaproszeni do pałacu, gdzie Sławomir Osiecki wygłosił prelekcję o Dorothei. Drugą prelekcję, poświęconą jubileuszowi 800-lecia Lwówka Śląskiego, wygłosiła Doris Baumert. Dalejsza część spotkania poświęcona była wspomnieniom związanym z historią Wlenia.

Krzysztof Tęcza

Ponownie w Jaworkach

XIX Spotkanie Śladowe

Siedzę w ciepłym, przytulnym pokoju w schronisku na Przehybie i piszę, co następuje. Oto kilka godzin temu zakończyło się XIX Spotkanie Śladowe Czytelników i Sympatyków „Na Szlaku”. Pod patronatem NS i KTN ZG PTTK. Tak, jak kilka lat temu, bazą była kwatera „U Waligórow”. Lista zgłoszonych liczyła 18 osób, było nas jednak piętnastu. Większość to stali uczestnicy Spotkań przewijający się przez kolejne imprezy w czasie 19 zimowych sezonów. Byli też debiutanci, jak Elizabeth z Francji.

Zamieszkaliśmy w wygodnych pokojach z łazienkami w obiekcie, który przeszedł przebudowę podwyższającą standard. Spotkanie trwało od czwartku do niedzieli, niektórzy uczestnicy przybyli jednak dzień wcześniej i zostali dwa, trzy dni dłużej. Dzięki temu ich program górski i krajoznawczy był szerszy od przewidzianego. Niektórzy przybyli do Jaworek samochodami czy busem, a niektórzy pieszo, na nartach, przez góry ze Szczawnicy i z bacówki na Obidzy.

Mimo zmiennych warunków śniegowych, choć pokrywa śnieżna sięgała metra, zrealizowaliśmy i osiągnęliśmy właściwie wszystkie zaplanowane wstępnie trasy i cele wycieczek. Trasy modyfikowaliśmy w terenie, w zależności od stanu śniegu i trudności terenowych. Przeszliśmy w większych lub mniejszych zespołach, a także solo, główny grzbiet Małych Pienin od Przełęczy Rozdziela po schronisko „Orlica” w Szczawnicy. Kilka osób odwiedziło schronisko „Pod Durbaszką”, a również schronisko na Bereśniku. Wykonaliśmy „szalone” trawersy na zboczach między Wysoką, Wierchliczką a Przełęczą Rozdziela, skąd wróciliśmy do Jaworek grzbietem nad Doliną Białej Wody i samą Doliną. W tym samym czasie jeden z uczestników wyprawił się przez Durbaszkę i Wysoki Wierch na słowacką stronę Małych Pienin.

W sobotę kilkusobowy zespół wybrał się do schroniska na Przehybie, zrazu drogą z Jaworek w dolinie Starego Potoku, dalej drogą



Nad Doliną Białej Wody

stokową, później szlakiem narciarskim podchodzącym ze Szlachtowej przez Pieńiążną na Przehybę. Po lekkim posiłku w schronisku powędrowaliśmy w kierunku Szczawnicy, a trasę zakończyliśmy w karczmie Czarda.

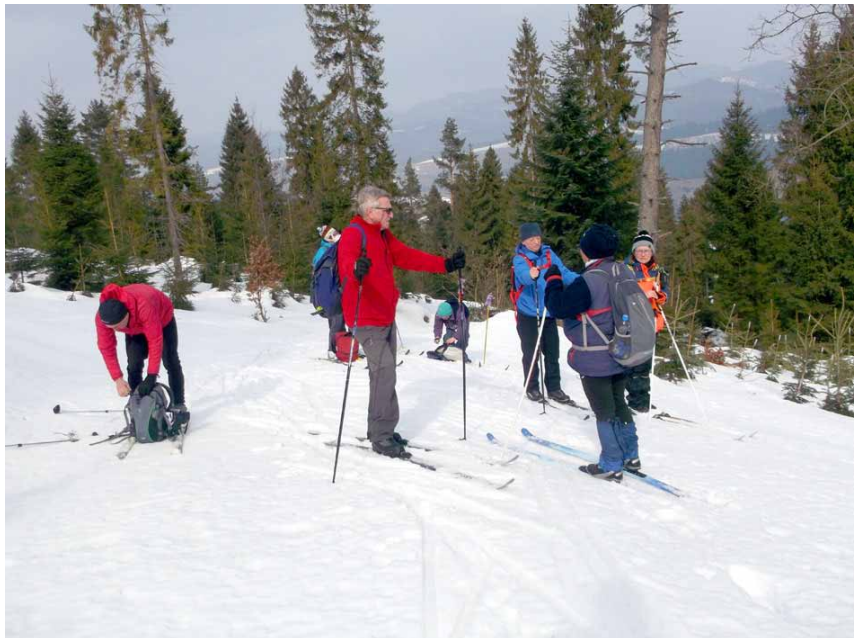
Inne zespoły wędrowały tego dnia grzbietem Małych Pienin od Durbaszki po Szczawnicę oraz szlakami i bezdrożami u podnóża Radziejowej. Śniegu nie brakowało, choć wiele zboczy wystawionych na południe było już „gołych”. Warunki zmieniały się w ciągu dnia, nisko w samych Jaworkach śnieg utrzymywał się jeszcze w zacienionych miejscach. Można było zjechać na nartach polanami spod Durbaszki do samych Jaworek. Drogi w dolinach były zalodzone, niektóre fragmenty tras trzeba było pokonywać „z buta”. Wyżej na stokówkach i grzbietach śniegu nie brakowało – był całkiem dobry. Nocne przymrozki tworzyły twardą skorupę na powierzchni, na przykład na grzbiecie Małych Pienin. Trzeba było naprawdę dobrze uważać, by narty „nie poniosły”. Znacznie lepsze warunki i bezpieczniej było na drogach stokowych i na zacienionych szlakach grzbietowych. Zmienne warunki nie przeszkadzały jednak uczestnikom XIX Spotkania w wędrówce. Było to Spotkanie bardzo udane, tak od strony turystycznej, jak i towarzyskiej. Dziękuję uczestnikom za towarzystwo i aktywność, a gospodarzom za miłą gościnę. Już jesteśmy umówieni na XX Spotkanie Jubileuszowe planowane od 27 lutego do 1 marca 2020 roku w... Toruniu, a właściwie w osadzie leśnej Barbarka przy granicy miasta. W razie braku śniegu impreza odbędzie się jako piesza. Szczegóły organizacyjne będą się ukazywać w „Na Szlaku” od września tego roku. Zapraszam turystów, którzy brali udział w poprzednich Spotkaniach. Do zobaczenia na Barbarce za rok.

Juliusz Wysłouch

Na Przehybie



W drodze na Przełęcz Rozdziela



Chwila odpoczynku na trasie



Śladami uczestników jeleniogórskiej wyprawy na Annapurnę

W sobotę 9 marca 2019 roku w Kwadracie zorganizowane zostało spotkanie „Śladami uczestników. Obchody Jubileuszu 40-lecia Pierwszej Jeleniogórskiej Wyprawy w Himalaje”.

Himalaje, uważane za najpotężniejsze góry świata, od dawna były marzeniem ludzi owładniętych pasją zdobywania szczytów. Człowiek zawsze podejmował wyzwania przekraczające jego możliwości, by udowodnić, że czasami te możliwości zostały oszacowane zbyt nisko. Dlatego, gdy tylko nadarzała się okazja, by dokonać czegoś niezwykłego, wejść na jeszcze niezdobyty szczyt, pojawiała się garstka zapaleńców chcących dokonać tego, co do tej pory wydawało się niemożliwe.

Jeśli chodzi o nasz teren z Karkonoszami i Górami Sokolimi, został on zauważony od razu, gdy pojawili się tu pierwsi pasjonaci wspinaczki. Drogi skalne, stopnie ich trudności, a zarazem ich bliskość komunikacyjna – zarówno z baz zlokalizowanych wokół nich, jak i z innych rejonów Polski – sprawiła, że nasze góry szybko stały się miejscem, do którego ściągali wszyscy, zarówno początkujący, jak i już uznani wspinacze. To w zasadzie tutaj zaczynali wszyscy, którzy mieli zamiar wyruszyć w góry wysokie. Najpierw ćwiczyli w Sokolikach, później w Śnieżnych Kotłach, następnie ruszali w Tatry, Alpy, by w końcu wylądować w Himalajach. Taka była kolej rzeczy.

Jelenia Góra miała szczęście do ludzi utalentowanych, jeśli chodzi o wspinaczkę górską, ale nie tylko. Wystarczy wspomnieć dr. Jerzego Kolankowskiego, który napisał przewodnik wspinaczkowy, będący dla kolejnych wspinaczy niejako elementarzem. A przecież oprócz dr. Kolankowskiego mieliśmy dziesiątki pasjonatów, którzy wyrastali na tuzy polskiego taternictwa.

Czasy, w jakich rodziła się nasza sudecka pasja wyprawowa, nie były łatwe. Brakowało specjalistycznego sprzętu, odpowiedniego finansowania wypraw, a w końcu nastawienie zarówno władz, jak i zwykłych ludzi, nie do końca było przychylne tym, jak to często określano, fanaberiom.

Ale wydarzyła się rzecz niesłychana. W 1977 roku ruszyła wyprawa wrocławska „Hindukusz 77”. Jej celem było zdobycie szczytu Kohe Szachaura (7116 metrów n.p.m.) i to filarem północnym. Udało się. Na szczyt weszli: Jerzy Pietkiewicz, Aleksander Lwow i Krzysztof Wielicki.

Zachęcenі sukcesem podjęli pomysł zorganizowania wyprawy na Annapurnę Południową (7219 metrów), znaną z dużych trudności technicznych. I tak, po wielu rozmowach w końcu zaczęto przygotowania. Najpierw, w roku 1978, Sudecki Klub Wysokogórski otrzymał oficjalną zgodę na zorganizowanie tej wyprawy, co niewątpliwie przyczyniło się do przyspieszenia przygotowań i doprowadziło do tego, że już 8 marca 1979 roku z Polski wyruszyła grupa



samochodowa, która miała za zadanie dotrzeć do Indii otrzymanym do jazdy testowej Jelczem. Podróż trwała 30 dni. Pokonano drogi i bezdroża, góry i pustynie, zahaczono o obszar ogarnięty wojną, w końcu jednak w kwietniu ekipa dotarła do Delhi, gdzie mogła odpocząć w gościnnych progach ambasady polskiej. Nieco wcześniej grupa, która przyleciała samolotem wyruszyła w góry, by rozpocząć organizację wyprawy na miejscu.

15 kwietnia karawana z zaopatrzeniem dotarła do bazy pod Annapurną, gdzie spotkała się z wcześniej przybyłymi kolegami. Ekipa była w komplecie.

W tym samym czasie grupę spotkało pierwsze niepowodzenie uzmysławiające, jak niebezpiecznego podjęła się zadania. Podczas rekonesansu nieszczęśliwemu wypadkowi uległ Józef Koniak. Niestety, nie przeżył tego. Pozostał w górach już na zawsze.

Po podjęciu decyzji o kontynuowaniu ataku na szczyt, 1 maja 1979 roku zdobyli go Krzysztof Wielicki i Kazimierz Śmieszko. Tego samego dnia inni członkowie wyprawy wzięli udział w akcji ratunkowej grupy japońskiej, w której doszło do poważnego wypadku. Po tej akcji urwał się kontakt z dwoma wspinaczami, których poszukiwania w kolejnych dniach nie przyniosły rezultatów. W końcu, biorąc pod uwagę bardzo niekorzystające warunki pogodowe i techniczne, podjęto decyzję o uznaniu Jerzego Pietkiewicza i Juliana Ryznara za zaginionych. Oni także pozostali w górach na zawsze.

Pod koniec maja 1979 roku grupa samochodowa ruszyła w podróż powrotną do kraju, trwającą prawie miesiąc.

Niestety, trzech uczestników wyprawy przypłaciło chęć osiągnięcia czegoś wielkiego najwyższą ceną – życiem. Wspomnę tylko, że do roku 1979 próby wejścia na Annapurnę Południową podejmowało kilka wypraw japońskich oraz Francuzi. Kilku uczestników tamtych wypraw także pozostało na zawsze w górach, nie realizując swoich marzeń. Bogini Kali tym razem nie była łaskawa.

W wyprawie na Annapurnę Południową w 1979 roku brali udział: Jerzy Pietkiewicz, Konstanty Bałuciński, Zbigniew Czyżewski, Bogdan Dejnarowicz, Roman Hryciów, Józef Koniak, Jerzy Pietrowicz, Julian Ryznar, Wiktor Szczypka, Kazimierz Śmieszko, Marian Tworek, Krzysztof Wielicki, Ryszard Włoszczowski, Jerzy Woźnica i Marian Piekutowski.

Czterdzieści lat od zorganizowania jeleniogórskiej wyprawy, syn jednego z uczestników, Maciej Pietrowicz, podjął decyzję o przygotowaniu spotkania upamiętniająco-wspominkowego. Zaprosił na nie żyjących jeszcze uczestników wyprawy oraz znajomych i ludzi interesujących się górami. W sumie zjawilo się około 300 osób. Najważniejsze były wspomnienia Wiktora Szczypki, Bogdana Dejnarowicza i Ryszarda Włoszczowskiego oraz rozmowa na odległość z Krzysztofem Wielickim i Romanem Hryciowem.

Ważny – może nie dla samych uczestników wyprawy, ale dla osób przybyłych na spotkanie oraz dla młodzieży interesującej się wyprawami górskimi – był występ Rafała Froni, który jako obecnie aktywny himalaista pokazał różnice pomiędzy sprzętem używanym dawniej a dzisiaj. Kiedyś wyprawy musiały przenosić do bazy tony żywności i sprzętu. Teraz ta sama ilość pożywienia i wyposażenia waży kilka razy mniej. Również odzienie wykorzystywane obecnie podczas górskich wypraw różni się od tego sprzed lat. Poza tym samo dotarcie do bazy trwa nieporównywalnie krócej. Rafał stwierdził, że nie jest pewien, czy wszyscy obecnie biorący udział w tak ciężkich wyprawach wytrwaliby, gdyby mieli takie warunki, jak te sprzed kilkudziesięciu lat. I to jest prawda. Dawniej ludzie podejmujący takie wyzwania mieli pasję, młodzieńczy zapał i chęci, które dawały im skrzydeł, natomiast trudności ze sprawami tak przyziemnymi, jak wyposażenie techniczne czy finanse, po prostu trzeba było pokonać.

Maciej Pietrowicz oznajmił, że jesienią wyruszy grupa złożona przede wszystkim z dzieci uczestników wyprawy z 1979 roku. Celem tej podróży będzie dotarcie do miejsca, w którym wówczas znajdowała się główna baza i umieszczenie tablicy upamiętniającej tych, którzy pozostali tam na zawsze.

Pozostaje tylko życzyć, by plany te zostały zrealizowane.



Krzysztof Tęcza

Finale etapu wojewódzkiego OMKK PTTK „Poznajemy Ojcowiznę”

W sobotę 23 lutego 2019 roku w pałacu w Bukowcu odbył się finał etapu wojewódzkiego Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego PTTK „Poznajemy Ojcowiznę”. Konkurs jest prowadzony od lat 90. XX wieku przez Radę Programową ds. Młodzieży Szkolnej Zarządu Głównego PTTK oraz redakcję czasopisma „Poznaj Swoją Ojczyznę”.

Głównym celem konkursu jest zachęcanie młodzieży do poznawania ziemi ojczystej, ale nie tylko. Chodzi także o poznawanie historii – zarówno obszaru zamieszkania, jak i swojej rodziny. Ostatnio wiele prac składanych w konkursie dotyczy właśnie historii usłyszanej od rodziców czy dziadków. Dzięki temu dzieci dowiadują się czegoś więcej o swojej rodzinie, a my często mamy możliwość poznania wydarzeń tak niezwykłych, że aż trudnych do uwierzenia.

Regulamin konkursu określa osiem głównych tematów prac:

1. Mój dom rodzinny, moja miejscowość, jej położenie, krajobraz i stan środowiska
2. Dzieje mojej rodziny, tradycje i zwyczaje
3. Historia mojej Ojcowizny, obiekty zabytkowe
4. Ludzie mojej miejscowości zasłużeńi dla regionu i kraju
5. Moje najciekawsze ścieżki krajoznawczo-turystyczne
6. Nasza szkoła, historia i tradycje SKKT – PTTK w mojej szkole
7. Moja Ojcowizna – jej miejsce w Polsce i Europie
8. Losy moich bliskich i rodaków poza granicami kraju

Konkurs składa się z etapów – wojewódzkich i centralnego. Do etapów wojewódzkich zgłaszane są prace z terenu poszczególnych województw. Od kilku lat etap obejmujący Dolny Śląsk organizowany jest przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Nie inaczej było w roku obecnym.

Do etapu wojewódzkiego w roku 2019 wpłynęło ogółem 38 prac, w tym 27 pisemnych i 11 multimedialnych. Niektóre były wieloautorskie, zatem zgłoszono prace 52 autorów: 43 z pionu szkół podstawowych, 6 z gimnazjów i 3 ze szkół ponadgimnazjalnych. Jeśli chodzi o wiek autorów, to najliczniejsi byli piętnastolatki, bo aż siedemnaścioro. Najmłodszy miał dziesięć lat, a najstarszy osiemnaście. Warto spojrzeć na wykaz miejscowości, z których nadesłano poszczególne prace. W grupie szkół podstawowych były to: Jelenia Góra, Łomnica, Karpacz, Nowogrodziec, Bolesławiec, Dąbrowica Bolesławiecka, Wrocław, Legnica, Świeradów-Zdrój. W grupie gimnazjów: Wrocław, Świeradów-Zdrój, Wałbrzych, Bolesławiec. W grupie szkół ponadgimnazjalnych: Lubiąż, Legnica i Lubin.

Na uroczyste wręczenie dyplomów i nagród wyróżnionym uczniom oraz ich opiekunom zaproszono wszystkich do Bukowca, do siedziby Związku Gmin Karkonoskich, przy którym działa Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy, założona na mocy porozumienia pomiędzy PTTK a ZGK. Nad prawidłowym przebiegiem prac związanych z konkursem czuwała komisja w składzie: Krzysztof Tęcza (prezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie”, zarazem kierownik Pracowni Regionalnej) – przewodniczący, Andrzej Mateusiak (wiceprezes urzędujący oddziału PTTK „Sudety Zachodnie”) – wiceprzewodniczący i Janusz Turakiewicz. Komisja dokonała oceny nadesłanych prac i ustaliła ostateczne wyniki. Dodam tylko, że prace były oceniane w trzech kategoriach szkolnych, a w każdej z nich dzielone na prace indywidualne i zbiorowe oraz pisemne i multimedialne.

Oficjalne wyniki Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy Ojcowiznę” – etap wojewódzki na obszar Dolnego Śląska

Pion szkół podstawowych

Indywidualne prace pisemne

I miejsce – Weronika Domańska ze Szkoły Podstawowej w Dąbrowicy Bolesławieckiej za pracę „Długi powrót do domu Ryszarda o lwim sercu”. Opiekun Mariola Kojder.

II miejsce – Amelia Maj ze Szkoły Podstawowej nr 50 we Wrocławiu za pracę „Nowe Ameliańskie zakamarki”. Opiekun Ewelina Nowak.

III miejsce – Zofia Salawa z Miejskiego Zespołu Szkół im. Marii Skłodowskiej-Curie w Świeradowie-Zdroju za pracę „Żabawy Quest” (to nie pomyłka, ma być przez „Ż”). Opiekun Teresa Fierkowicz.

Zbiorowe prace pisemne

I miejsce – Justyna Gawrońska, Kamila Smyka i Anna Ogiba ze Szkoły Podstawowej nr 51, im. Jana Pawła II we Wrocławiu za pracę „Błękitne oczy Leśnicy”. Opiekun Piotr Staniów.

II miejsce – Paulina Jonczyk, Aleksandra Spychała, Aleksandra Dudzik i Szymon Zbrzycki ze Szkoły Podstawowej nr 6 im. Włodzimierza Puchalskiego w Jeleniej Górze. Opiekun Paweł Jonczyk.

III miejsce – Martyna Jabłońska i Ewelina Smaczna ze Szkoły Podstawowej nr 97 z Oddziałami Gimnazjum nr 5 we Wrocławiu za pracę „Wrocław – moja mała ojczyzna”. Opiekun Renata Jędrusik.

Indywidualne prace multimedialne

I miejsce – Franciszek Jaremkiewicz ze Szkoły Podstawowej nr 19 we Wrocławiu za pracę „Paweł Moto, czyli historia mojego pradziadka”. Opiekun Małgorzata Kraśniana.

II miejsce – Kinga Macios ze Szkoły Podstawowej nr 11 w Jeleniej Górze za pracę „Szlakiem jeleniogórskiego Traktu”. Opiekun Mariola Macios.

III miejsca nie przyznano.

Zbiorowe prace multimedialne

Przyznano dwie równorzędne pierwsze nagrody:

- Kamila Pudło i Arkadiusz Kluczyński z Miejskiego Zespołu Szkół im. Marii Skłodowskiej-Curie w Świeradowie-Zdroju za pracę „Gdzie diabeł ogonem zamiata”. Opiekun Teresa Fierkowicz.
- Kacper Gollasch, Marcel Boczar, Eryk Winter i Julian Jarosz ze Szkoły Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi w Łomnicy za pracę „Karpniki – moja ojcowizna”. Opiekun Patrycja Skórzecka.

Pion szkół gimnazjalnych

Indywidualne prace pisemne

I miejsce – Kamil Sromek z Gimnazjum nr 3 im. Unii Europejskiej we Wrocławiu za pracę „Moja rodzina”. Opiekun Ewa Jarmakowicz.

II miejsce – Katarzyna Salawa z Miejskiego Zespołu Szkół im. Marii Skłodowskiej-Curie w Świeradowie-Zdroju za pracę „Babcia z Kamienia”. Opiekun Teresa Fierkowicz.

III miejsca nie przyznano.

Zbiorowe prace pisemne. Żadne prace nie wpłynęły w tej kategorii.

Indywidualne prace multimedialne

I miejsce – Anastazja Zaręba ze Szkoły Podstawowej nr 2 z Oddziałami Gimnazjum Samorządowego nr 2 im. Polaków Zesłanych na Sybir w Bolesławcu za pracę „Krótka historia bolesławieckiego sądu, dawnego przedwojennego gimnazjum”. Opiekun Jolanta Smolińska-Yacoubi.

II miejsce – Łukasz Kowalski z Publicznej Szkoły Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi nr 26 w Wałbrzychu za pracę „Druga bitwa pod Strugą”. Opiekun Renata Staniec.

III miejsca nie przyznano.

Zbiorowe prace multimedialne

I miejsce – Nadia Miłkowska i Zuzanna Szeremeta ze Szkoły Podstawowej nr 2 z Oddziałami Gimnazjum Samorządowego nr 2 im. Polaków Zesłanych na Sybir w Bolesławcu za pracę „Historia miedzią pisana. Nieznane miedziane zagłębie”. Opiekun Jolanta Smolińska-Yacoubi.

II ani III miejsca nie przyznano.

Pion szkół ponadgimnazjalnych

Indywidualne prace pisemne

I miejsce – Natalia Usyk z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych im. Adama Mickiewicza w Lubaniu za pracę „Thiemendorf”. Opiekun Kinga Gordon-Sieradzka.

II miejsce – Jagoda Szałowska z II Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Wyspiańskiego w Legnicy za pracę „Dzieje mojej rodziny, tradycje i zwyczaje”. Opiekunowie: Joanna Brzostek i Beata Kucia.

III miejsca nie przyznano.

Zbiorowe prace pisemne

Żadne prace nie wpłynęły w tej kategorii.

Indywidualne prace multimedialne

I miejsce – Katarzyna Zawojak z Zespołu Szkół nr 2 w Lubinie za pracę „Podróż przez historię mojego miasta”. Opiekun Joanna Grodzka.

II ani III miejsca nie przyznano.

Zbiorowe prace multimedialne. Żadne prace nie wpłynęły w tej kategorii.

Ogólnie trzeba przyznać, że nadesłane prace prezentowały różny poziom, jednak cieszy fakt podejmowania przez młodzież wysiłku dokumentowania, przede wszystkim historii swoich rodzin. Musimy pamiętać, że to właśnie rodzice czy dziadkowie są ostatnimi osobami posiadającymi wiedzę, która, jeśli nie zostanie teraz spisana, przepadnie na zawsze.

Na koniec dodam, że praca działaczy Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” przy organizacji i przeprowadzeniu etapu wojewódzkiego konkursu wykonana została na zasadach wolontariatu, a finanse na nagrody i poczęstunek dla dzieci i ich opiekunów przekazało Starostwo Powiatowe w Jeleniej Górze. Część nagród ufundował Związek Gmin Karkonoskich, który też udostępnił swoją siedzibę na przeprowadzenie spotkania. Obu Jednostkom serdecznie dziękujemy.

Krzysztof Tęcza



Niech mu będzie Baltazar

Góral Henryk Zachwieja urodził się w Szczawnicy 16 lipca 1952 r. Zwano go Kazimierkiem lub Baltazarem i tylko na pozór było to jakieś poplątanie. Jemu nie przeszkadzało – przeciwnie, używał przydomków zamienne. Kazimierkiem był po dziadku, a Baltazarem? Kiedy w święto Trzech Króli wrócił z imprezy z dwoma kolegami, to znajomy ojca, który nie potrafił sobie przypomnieć, jak nazywano Kazimierka, widząc ich trzech, podtrzymujących się wzajemnie, powiedział: *Niech mu będzie Baltazar*. I tak to miano przykleiło się do niego.

Mówiło się o nim, że był artystą nieprzewidywalnym, może trafniej – niekonwencjonalnym. I pomyśleć: mógł zostać... golibrodą, gdyby w odpowiednim momencie nie uciekł z zakładu fryzjerskiego.

Ojciec był fryzjerem i umyślił sobie, że syn po nim przejmie zakład. – *Mnie się to okrutnie nie podobało, to zmiatanie włosów, golenie; gdybym został, to pewnie dziś bym te baby tak wyczesywał, że by nie poznały same siebie, takie bym czupryny wyczesywał* – opowiadał śmiejąc się podczas ostatniego wywiadu.



Baltazar z uśmiechającym się baranem



Wspomniałem, że uciekł z zakładu, ale jak to wyglądało! Podtekst z brzytwą wesoły nie był. Posłuchajmy: – *Ojciec mówi do mnie, że trzeba wygolić Władka, znajomego ojca. Naostrzyłem brzytwę i zacząłem golić, jakżem ciachnął, to od razu ze skórą. Zanim zaczęła sikać krew, przykleiłem skórę i czym prędzej uciekłem z zakładu krzycząc: Tato, ja zaraz wrócę!*

Już nie wrócił. Marzył o graniu na trąbce, jak Dizzy Gillespie czy Miles Davis. Wtedy to nie było takie proste – jakże ojca nie słuchać, który daje wikt i opierunek? Zapisał się do szkoły muzycznej, w której niestety nie było ukochanej trąbki, był za to akordeon, który polubił. Średnią szkołę muzyczną skończył w Nowym Sączu, w ostatnim roku równolegle uczęszczał do liceum ogólnokształcącego. W jednej szkole uczył się do południa, w drugiej po południu.

Żeby sobie skomplikować życie uznał, że muzykiem nie zostanie. – *Nie potrafiłem grać porządnie, bo nie miałem takiego słuchu muzycznego, jak trzeba. Miałem, ale nie taki, żeby zostać dobrym muzykiem – wyznał szczerze.*

Poza tym ucząc się w szkole muzycznej doszedł do wniosku, że połowa dzieci nie powinna do niej uczęszczać! – *Rodzice męczą dzieci. Jak się sami nie nauczyli grać, to wysyłają swoje pociechy na siłę marnując im dzieciństwo. Niech dziecko samo zdecyduje się na szkołę muzyczną, w której dużo jest nauki i ćwiczeń. Nie mają wakacji, wolnych dni, tylko na okrągło ćwiczą. Widziałem te biedne dzieci – grały, a nie chciały, ale tatuś i mamusia wymyślili im szkołę. Dlaczego sami się nie uczyli? Mój tata też chciał, żebym został fryzjerem i co? Nie można zmuszać do niczego – usłyszałem niespodziewanie logiczny wywód.*

Uczęszczając do szkoły muzycznej, w wolnych chwilach malował. Tak go to wciągnęło, że postanowił zdawać do Akademii Sztuk Pięknych. Podczas konsultacji w uczelni dowiedział się, że powinien przedstawić namalowany obraz w konwencji abstrakcyjnej i co się okazało? Namalował, a na komisji nie uwierzyli i nie przyjęli. Ocenili, że taką abstrakcję to maluje się na III i IV roku studiów, a on powinien najpierw nauczyć się malowania z natury.

Malował na wszystkim – na płótnie, desce, szkłe. W jakimś momencie odkrył świat rzeźby. – *Przychodzi taki dzień, że mi się chce malować, rzeźbić. Jak porozkładam narzędzia, przygotowuję się, to mi przechodzi. A jak mam ochotę, to wychodzę na pięterko i maluję, i jak wyjdzie ładny obraz albo rzeźba, to mnie już nikt nie potrafi zdenerwować, tak się cieszę, ogarnia mnie zadowolenie. To jest mój świat, moje życie i robię to, co chcę. Dzięki Ci, Panie Boże, za to – mówił Henryk Zachwieja. – Przeżywam, czuję, że jestem coś wart, jak pokonuję materię. Ukazuje się inny świat, robi się ciepło; popatrzę, jest inaczej, tak fajnie.*



Baltazar malujący



Obrazy Baltazara

Mówił, że od narzędzi zależy jaka będzie rzeźba. Potrafił pracować także siekierą, tak żeby było widać rąbanie, nie oczyszczał wtenczas rzeźby, miała być szorstka, toporna. Używał dłuta, kozika, scyzoryka, szczotki drucianej.

Najpierw rzeźba powstawała w głowie, myślał nad nią dzień, dwa, nieraz mijały tygodnie, pół roku, a potem nagle zabierał się do roboty. – *Pracuję pięć, sześć dni, tydzień i dłużej „zapierniczam”, a jak skończę, to idę do ogrodu. – Śmiał się, gdy to powiedział i dodał: – Strzygę podówczas drzewa, zamiast facetów*

w zakładzie. Znam się na drzewach, lubię je, a one mnie. Drzewa trzeba rozumieć, mówić do nich, jak do człowieka. Jedne są jak bałwany, a takie np. jabłonie to kurtyzany, nawet jablek nie muszą mieć. Krzywdy drzewom nie wolno robić, rany posmarować, to rosną. Ja mówię im, że jak nie będą przyrastać i rodzić, to będą ścięte. Jabłka są dorodne, eleganckie i piękne. Śmieją się do mnie, nawet robaczywe mają swój urok.

Drzewo ma fakturę, słoje, sęki. Czasami wykorzystywał niektóre elementy, ale nie zawsze, bo nie chciał być uwiązany. Sęk nie stanowił przeszkody, nie przejmował się nim, ustawiał go tak, żeby zagrał w całości. Działała tu podświadomość; mówił, że rzeźba ma się podobać albo nie. Dwa razy zdarzyło mu się rzeźbę porąbać. – *Jakżem robił półrzeźbę „Góralskie wesele”, urobiłem się jak durny. Zaczęłem malować, nie wyszło, spierniczyłem. Nie mogłem na nią patrzeć, pociąłem, a to nie chciało się za bardzo porąbać, co za jaja!, sęki mocno tkwiły. Takie to było drzewo. Drugim razem robiłem diabełka, jeden był taki wesoły, uśmiechał się jak Boruta, zdawało się, jakby rzeźba żyła. Ja do niego gadałem, a on się dalej śmiał ze mnie, więc pociąłem go na plastry. To śnił mi się później, zaświeciłem mu kaganek. Panu Bogu też w razie czego, żeby się nie obraził. Diabeł jest potrzebny, inaczej Pan Bóg nie miałby nic do roboty, taki byłby porządek – rozważał uśmiechając się jakoś tajemniczo. – Rzeźby są jak żywe. Gdy robiłem Matkę Bożą, dużą na 2,5 m, to do jakiegoś momentu, dalej nie mogłem, była już prawie dobra, ale nie kończyłem, ciarki mnie przechodziły. Przychodzi taki moment i tak ma zostać.*

Nie widać było w jego twórczości poplątania tematu ani formy, przeciwnie, widoczna była harmonia. Wiedział jedno, że artysta nie jest na sprzedaż, nie da się go kupić, nie trafi na jarmark, nie będzie niewolnikiem. – *Trzeba do tego dorosnąć. Pan Bóg dał mi robić, co i kiedy chcę, nikt nade mną nie stoi. Artysta konkurencji się nie boi – wiem, że jestem dobry. Podpatrują inni moje rzeźby, ale zanim wykapują mój styl, to ja już co innego wymyślę. Cieszę się z sukcesów, ostatnio mój Anioł Stróż z procą dostał główną nagrodę w galerii „Audialnia” w Krakowie. Trzeba być odważnym, żeby taką rzeźbę wystawić – wiedział, co mówił. Gdy zdarzała mu się dłuższa przerwa, to tęsknił za ludźmi i sztuką.*

Taki był Kazimierek *vel* Baltazar, artysta niekonwencjonalny, członek Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i Stowarzyszenia Artystów Pienińskich, laureat wielu konkursów. Brał udział w wystawach zbiorowych, doczekał się za życia także autorskich. Jego prace znajdują w wielu muzeach i kolekcjach w kraju, a także za granicą, zdobią obiekty sakralne.

Swego czasu proboszcz parafii w Szczawnicy ks. infułat Stanisław Wach zlecił mu wystrój kaplicy na Sewerynowce, według własnego pomysłu. Kazimierek w ciągu pół roku stworzył niepowtarzalny ołtarz, stół ofiarny, tabernakulum z chroniącymi go harnasiami, zdobne ornamenty, nietypowe, drewniane witraże. W 1986 w konkursie „Przeciw wojnie” zdobył pierwsze miejsce za niezwykle impresyjną rzeźbę „Klatka” z drutu kolczastego, z postacią zamkniętą w niej św. Maksymiliana Kolbego. Znajduje się ona w zbiorach muzeum na Majdanku.

Żałuję, bo nie zdążyłem zrobić zdjęcia pięknej rzeźbie Chrystusa frasobliwego w kapliczce przy ulicy Skotnickiej w Szczawnicy Niżnej – skradziono ją w 2010 r. Kazimierek powiedział wtedy z wielkim smutkiem: *Była miejscem modlitwy i zadumy.*

Kiedy trafił do szpitala, zadzwonił do mnie. Trudno było go zrozumieć, prawie bełkotał. Pytał, jak się czuję, a sam był leczony, nie rozumiałem na co. Mówił o rzeźbach, które robi, gdy wróci. Miał przemyślenia, chciał się nimi podzielić. Wymusił na mnie, że zadzwonię, jak przyjadę do Szczawnicy.

Zmarł parę dni później, 16 maja 2014 roku. Pogrzeb odbył się dwa dni później, w niedzielę, na cmentarzu pod Hulina. Czasami, gdy spojrzę na płaskorzeźbę głowy Harnasia, którą mi podarował, to myśli powracają. Zastanawiam się, co to były za przemyślenia, którymi chciał się podzielić?

Ryszard M. Remiszewski



Leon Hryniewiecki

Urodził się w szlacheckiej rodzinie Franciszka Hryniewieckiego 29 czerwca 1853 r. na Połtawszczyźnie (źródła podają też inne daty urodzenia). Ukończył gimnazjum, następnie Charkowski Instytut Weterynaryjny (1876), po czym kontynuował studia w petersburskiej Wojennej Akademii Medycznej, którą ukończywszy został lekarzem, po czym otrzymał stopień doktora nauk medycznych (1882). Już w czasie studiów wojskowych uczestniczył w ekspedycji hydrograficznej do zatoki Obskaja Guba, uchodzącej do Morza Karskiego. Zebrana tam przez niego kolekcja etnograficzna została przekazana do Kunst-Kamery (muzeum etnograficzne w Petersburgu).

Po zakończeniu akademii Hryniewiecki mógł się poświęcić pracy naukowej w Petersburgu, ale wybrał daleką podróż. Otrzymał IV stopień kwalifikacji lekarskiej i tytuł radcy stanu (odpowiadało to stopniowi wojskowemu porucznika) w maju 1882 r. wyruszył na statku *Cziżow* wokół brzegów Szwecji i Norwegii, a w lipcu przybył na Nową Ziemię. Podjął pracę w ramach pierwszego międzynarodowego roku polarnego na stacji badawczej Małe Karmakule, utworzonej na południowej wyspie archipelagu. Został lekarzem i zastępcą naczelnika stacji. Doświadczenie zdobyte przy organizacji stacji przydało mu się później na Dalekim Wschodzie. Wraz z dwoma Nieńcami, korzystając z zaprzęgów z 22 psów, w ciągu 8 dni jako pierwszy Europejczyk przejechał Wyspę Południową archipelagu z zachodu na wschód i wyszedł na brzeg Morza Karskiego.

W 1884 r. założył pierwszą naukową organizację na Dalekim Wschodzie, a mianowicie Towarzystwo Badań Kraju Amurskiego. W 1886 r. został członkiem Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego i otrzymał srebrny medal towarzystwa. Rząd carski zaś nagrodił go Orderem Świętego Włodzimierza IV stopnia. W tym samym roku został lekarzem garnizonu wojskowego na Wyspach Komandorskich na Morzu Beringa, a po dwóch latach przeniósł się do Aleksandrowskiego Postu w Zatoce De-Kastri nad Cieśniną Tatarską na Dalekim Wschodzie.

W 1888 r. już jako nadworny radca (podpułkownik) i lekarz VI stopnia Hryniewiecki został mianowany naczelnikiem nowo tworzonego Okręgu Anadyrskiego na najdalszych kresach Rosji. Wraz z aktem mianowania na naczelnika okręgu otrzymał od amurskiego generała gubernatora Pawła Unterbergera zalecenia co do działania anadyrskiej administracji, w których wskazano na konieczność udzielania wszelkiej pomocy *inorodcom* (tj. tubylcom), co miało zniechęcać ich do kontaktów z załogami amerykańskich statków, z którymi handlowali.

Wojenny *kliper* Floty Bałtyckiej *Razbojnik* z Władywostoku zabrał 4 tys. *pudów* materiałów, w tym cegły, gotowe belki konstrukcyjne, papę dachową, 5 żelaznych pieców, naftę i towary do wymiany. Po drodze w Pietropawłowsku *kliper* przyjął na pokład dziesięciu kozaków (bez rodzin) z bronią, stanowiących garnizon wojskowy przyszłego *postu*, dziesięć psów oraz zapasy ryb i mąki. W lipcu 1889 r. *kliper* zacumował przy brzegu Zatoki Anadyrskiej. Miejscowi Czucke z wioski Wen z podziwem oglądali wielki trzymasztowy okręt wyposażony w maszynę parową.

Od okrętu oddzieliła się łódź, którą Hryniewiecki opłynął brzegi zatoki, by wybrać miejsce pod budowę domu. Hryniewiecki wraz z kozakami i załogą okrętu wznosił ten dom w ciągu 10 dni. Dom miał 18 m długości



Pomnik Leona Hryniewieckiego

i 5,5 m szerokości i było w nim 5 pokoi z piecami. Zamieszkał w nim z zastępcą Michaiłem Dmitrijewem i kozakami. Ponieważ nastąpiło to 22 lipca (starego stylu), w dniu imienin *imperatrycy* Marii Fiodorowny, żony cara Aleksandra III, *post* otrzymał nazwę Nowo-Mariinsk.

W nowym domu Hryniewiecki przebywał do sierpnia 1890 r., kiedy to wraz z załogą łodzi przepłynął do nowej siedziby we wsi Markowo (ponad 400 km w górę rzeki Anadyr). Miał opinię człowieka życzliwego, który pomagał ludziom. Dzięki temu, że podarował Czukczom

piłę, mogli z jednego drzewa wyciąć wiele desek, a nie, jak dotychczas, tylko jedną. Odremontował szkołę w Markowie, przekazał jej pół setki własnych książek; stały się one zaczątkiem biblioteki. Spisał też pierwszą gramatykę języka Czukczów. Leczył ich, za darmo wydawał lekarstwa. Korzystając z psich zaprzęgów jeździł po tundrze, by leczyć chorych w jurtach. Przy tej okazji prowadził badania antropometryczne swoich pacjentów. Wiele czasu poświęcał badaniom botanicznym i zoologicznym. Zbierał dzieła sztuki ludowej. Do dziś w muzeum we Władywostoku można podziwiać rzeźby zwierząt wykonane przez Czukczów z kości morsa.

Zimowe wyjazdy w śnieżną zamięć w tundrze nie pozostały bez następstw. Wielokrotnie był przeziębiony. Wreszcie zachorował na *galopujące suchoty* (gruźlica). Nie miał lekarstw na tę chorobę. Wiosna nie przyniosła poprawy. Zaprosił więc do siebie starostę, miejscowego duchownego i w ich obecności podyktował sekretarzowi swoją ostatnią wolę. Mimo że chodził opierając się na lasce, starał się nadal jak najlepiej wykonywać obowiązki. W lipcu polecił przygotować podróż łodzią do ujścia Anadyru. Na przystani w Markowie żegnali go liczni mieszkańcy wsi. W białą noc przed 8 lipca 1891 r. na postoju na wysokim brzegu rzeki Majn, która wpada do Anadyru, Hryniewiecki poczuł zbliżający się koniec. Swoją dziennik oddał starszemu z kozaków, prosząc, by go nadal prowadził. Pierwszy naczelnik Czukotki zmarł tego samego dnia. Na swoje życzenie został pochowany w miejscu śmierci.

Dziennik Hryniewieckiego przekazano generałowi gubernatorowi Kraju Amurskiego. Materiały etnograficzne i przyrodnicze zebrane na Czukotce trafiły do muzeum we Władywostoku, później w części do muzeum w Anadyrze. Hryniewiecki napisał 11 prac, z których najbardziej znana to *W poprzek Nowej Ziemi*.

W 1894 r. na grobie Hryniewieckiego ustawiono szary granitowy pomnik otoczony żeliwnym ogrodzeniem, które przysłała na Czukotkę jego matka. Na pomniku z jednej strony podano daty jego życia: 17.06.1853 – 26.06.1891 (w starym stylu), a z drugiej strony napisano: *Trudzącemu się dla nauki*. W 2014 r. pomnik na grobie został odnowiony, droga od rzeki poszerzona. Obok pojawiła się altana dla podróżnych i napis: *Zatrzymaj się i pokłoń...* Miejsce to stało się ważnym historycznym obiektem Czukotki, odwiedzanym przez delegacje i turystów.

W 2014 r., na 125-lecie 15-tysięcznego Anadyru, który wyrósł z Nowo-Marińska, wysoki brązowy pomnik Hryniewieckiego wzniesli mieszkańcy miasta i jego imieniem nazwali plac, gdzie stanął pomnik. Autorem pomnika jest znany współczesny rzeźbiarz Siergiej Isakow. Rzeka płynąca przy historycznym domu pierwszego naczelnika Czukotki, wpadająca do zatoki, stała się rzeką Hryniewieckiego.

Leon Hryniewiecki był lekarzem wojskowym, podróżnikiem polarnym, odkrywcą, etnografem i przyrodnikiem, członkiem rzeczywistym IRTG, nagrodzonym za udział w pierwszym międzynarodowym roku polarnym. Mimo krótkiego życia zasłużył się dla ziem Syberii i Dalekiego Wschodu.

Janusz Fuksa



Anadyr



Grób Leona Hryniewieckiego

Kilka słów o Konradzie

Na początku marca zmarł Konrad Ostańkiewicz, osoba, której wrocławskim turystom nie trzeba było przedstawiać. Nie tylko wrocławskim, znany był przecież w całym krajowym środowisku narciarzy turystów. Znany był ze szlaku, z licznych publikacji poradniczych i literackich, których główny temat stanowiło narciarstwo turystyczne. Przez kilkadziesiąt lat uczestniczył niemal we wszystkich rajdach, wycieczkach i spotkaniach narciarzy, którzy na wędrówkach korzystali z nart śladowych. Nie jest przypadkiem, że zbiór jego opowiadań i esejów nosi tytuł „Ślady”. Pamiętam Go ze Śladowych Spotkań „Na Szlaku” odbywających się od roku 2000 w różnych miejscach polskich gór. Konrad brał udział w kilku takich spotkaniach, począwszy od tych pierwszych na Turbaczu. Zawsze uśmiechnięty, zawsze z dobrym słowem dla towarzyszy wycieczki. Ze względu na stan zdrowia Jego narciarskie wyprawy stawały się coraz krótsze i odbywały się w łatwiejszym terenie, ale jeśli tylko mógł, to nie odstawiał nart. Można Go było poznać po czarno-żółtym kombinezonie i żółtej czapce, które niezmiennie zakładał przed wyruszeniem na szlak. Prowadził m.in. wycieczki podczas Spotkań Śladowych w schro-



Konrad w Górach Bystrzyckich



nisku „Pod Muflonem” i w Jagodnej na Przełęczy Spalonej. W ostatnich kilku Spotkaniach już nie uczestniczył, choć na pewno był na nich obecny duchem. Teraz zakłada swój ślad na „niebieskich trasach”.

Na zdjęciach Konrad Ostańkiewicz (w słynnym żółto-czarnym kombinezonie) w Górcach i w Górach Bystrzyckich.

Juliusz Wyslouch

Na Turbaczu

Konrad Ostańkowicz

Sympatyczny, wysoki brodacz w strojach z dużą ilością koloru żółtego i z nartami śladowymi na nogach – to tak dobrze znana nam sylwetka Konrada Ostańkowicza, który zmarł 6 marca 2019 r. we Wrocławiu.

W kilku słowach nie sposób zawrzeć Jego życia, choćby tylko części poświęconej narciarstwu i wędrownemu narciarstwu, które nas wiele lat temu sprowadziły do Klubu Narciarskiego PTTK – najpierw w Oddziale „Psie Pole”, a po jego likwidacji w Oddziale Wrocławskim.

Był niepoprawnym entuzjastą wędrowek narciarskich, zimowych wyjazdów w Sudety, animatorem życia narciarskiego w naszym klubie i poza nim. Nie było złej pogody czy problemów z dojazdami albo noclegami – zawsze znalazło się jakieś, choćby i bardzo nietuzinkowe, rozwiązanie.

Miał liczne zainteresowania: etnograficzne, historyczne, fotograficzne i wszystkie one owocowały ciekawymi rozmowami wokół Sudetów i nart.

Jego usprawnienia w ekwipunku turysty narciarza, jak i wieloletnie doświadczenie wędrowkowe zaowocowały wydaniem poradnika „Narciarstwo wędrowkowe” (wyd. „Sudety”, 1996). Przeżycia i obserwacje opisywał w swoich, wydawanych drukiem, opowiadaniach.

Propagowanie nart śladowych towarzyszyło Jego artykułom w czasopiśmie „Na Szlaku” i „Sudety”. Zdjęcia, jakie wykonywał,

nie rozstając się z aparatem, znalazły miejsce w książce Elżbiety Berendt „Przydrożna i podniebna” (wyd. PTL 2001), jak również w licznych albumach, jakie tworzył z wyjazdu na wyjazd.

W ostatnich latach choroba coraz bardziej dawała Mu się we znaki i nie mógł już robić dłuższych spacerów, aczkolwiek w schronisku „Pod Śnieżnikiem” można Go zawsze zobaczyć, jak idzie w śnieżnej zawiści,

z przyjaciółmi, przed siebie – na obrazie zawieszonym w jadalni schroniska.

Julietta Janczewska



Pod Muflonem



**W Dolinie
Dzikiej Orlicy**

Spotkajmy się w Pieninach

Nie jest źle, kolejny 27 tom „Prac Pienińskich” ujrzał światło dzienne i znalazł się w rękach czytelników, jak Pan Bóg przykazał, w terminie, a wypełnia go 418 stron druku, a na końcu 12 barwnych fotografii dokumentalnych.

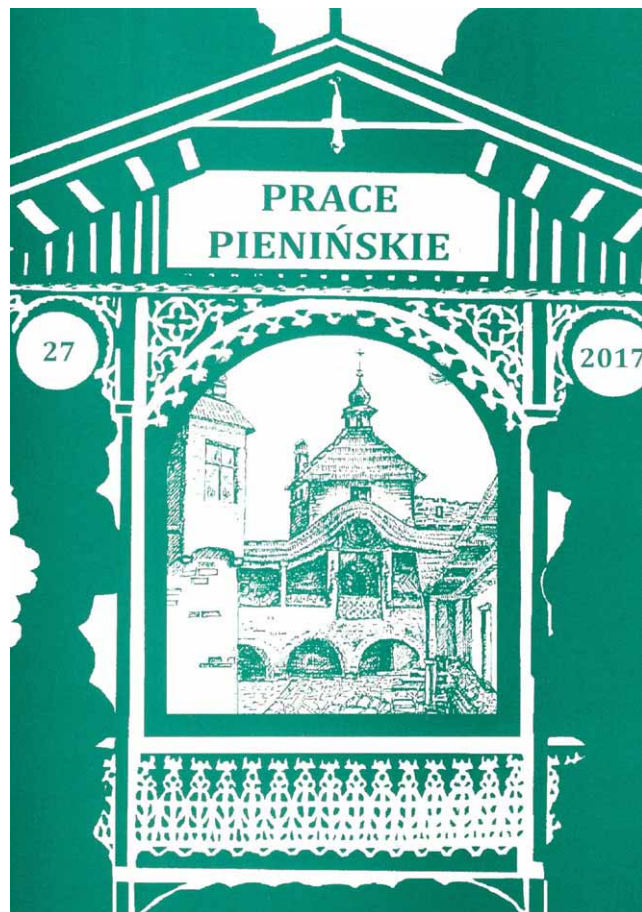
Co możemy w nim znaleźć i przeczytać, wszystko jedno – przed czy po wędrowce przez Pieniny i ich najbliższe sąsiedztwo? Jak zwykle, na pierwszym planie są materiały krajoznawcze, ale tym razem wzmocnione obszerną informacją o utworzeniu Geoparku Pienińskiego. To kolejna forma popularyzacji mikroregionu i krainy górskiej. Najpierw był pograniczny, pierwszy w Europie od 1932 roku, polski Pieniński Park Narodowy (PPN) i niewiele młodszy park słowacki – Pieninský národný park (PIE-NAP). Teraz jest Geopark, czyli pienińskie atrakcje krajozobrazowe jako dziedzictwo geologiczne o międzynarodowej wartości, pod patronatem UNESCO.

W artykule naukowców krakowskich poświęconym mieszkańcom Pienin znajdziemy kilkadziesiąt osobliwości naturalnych i społecznych, czyli wszystko to, co stanowi o wyjątkowym charakterze i walorach krajoznawczych krainy nad Dunajcem i Grajcarkiem, w ich nurtach i na brzegach, pod Wysoką, Jarmutą, Okrąglicą i Potokiem Pienińskim.

Kolejny osobliwy temat – zaśmieszenie środowiska naturalnego przez... światło. Autor przekonuje językiem naukowym o konieczności chronienia nie tylko ziemi, wód, lasów, zabytków, ale także nieba nad nami, przede wszystkim unikając nadmiaru oświetlenia w nocy. Takie obszary należy ochronić przed nadmiarem światła elektrycznego i wcale nie jest to początkowa faza takich działań. Już w 2004 roku w gminie Jeleśnia (Beskid Żywiecki) powstał program „Ciemne Niebo”. W 2009 roku podobna inicjatywa miała miejsce w Górach Izerskich, a jej celem było objęcie ochroną polskiego i czeskiego obszaru nazwanego Izerskim Parkiem Ciemnego Nieba. Autor nie formułuje propozycji wprost, ale wiadomo, że w Pieninach i u podnóża tego masywu jest wiele okolic, które powinny być chronione przed sztucznym światłem.

Znany botanik krakowski odpowiada na pytanie „Co to jest drzewo?” i pasjonująco wylicza rośliny, którym słusznie należy się określenie „piękne”. Są okazałe i sędziwe, a wymienia tylko cztery – pienińskie buki, jodły pospolite, sosny zwyczajne i świerki pospolite. Wiele uwagi poświęca ich cechom użytkowym, krajoznawczym, siedliskom oraz związanym z nimi wierzeniom i obrzędom. Latem 2018 roku Pieniny poniosły niepowetowaną stratę – z krajozobrazu Sokolicy zniknęła znaczna część najbardziej znanego symbolu tych gór – rosochata sosna na skałach, uderzona gwałtownym podmuchem powietrza od wirnika śmigłowca ratowniczego. Panuje opinia, że akcja ratunkowa w tym miejscu, prowadzona w ten sposób, nie powinna mieć miejsca i jest „plamą na sumieniu ratowników górskich”.

Niestety, znalazł się w omawianym tomie „PP” obficie ilustrowany tekst o nowej formie turystyki ekstremalnej w Pieninach, czyli o karkołomnych trasach, imprezach i – moim zdaniem – szaleństwie na rowerach



umożliwiającym uprawianie *bikingu* i *freeride'ów* (i dwa w jednym, czyli *downhillu*). Kto ciekawy, niech wybierze się w sezonie do Bike Parku w Kluszkowcach. Mrożenie krwi w żyłach za całkowitą darmość...

Zaraz potem autor zaprasza do kościoła w Lendaku, wsi na stokach Magury Spiskiej. W ten sposób wracamy do klasycznego krajoznawstwa i podziwiania walorów świątyni bożogrobców i wspaniałości jej wystroju, choć swoim prostym kształtem z zewnątrz nie zapowiada takiej różnorodności atrakcji, jaką ma w wyposażeniu. A są to: ołtarz główny, krucyfiksy, kielich mszalny i starodawne ornaty.

Mało znany temat unii polsko-słowackiej zawartej we wrześniu 1938 roku i jej poczynania polityczne podczas II wojny światowej, podali nam autorzy z Rzeszowa.

Podobnie wartościowy jest odnaleziony archiwalny tekst Mariana Gotkiewicza, badacza Zamagurza. Autor rozważał w rękopisie problem, kim byli pierwsi osadnicy w tej krainie – Polakami czy Niemcami. Obszerne wywody oparte na dokumentach dają odpowiedź na to pytanie.

Rzadko na łamach „PP” pojawia się tematyka heraldyczna. Tym razem jest mowa o rodowodzie herbu rodu Lubomirskich, a przy okazji o zamku w Wiśniczu.

Do wspomnianego wcześniej tekstu o pienińskich drzewach dodajmy sobie wiadomości o przyrodzie pienińskiej w dokumentach historycznych z XVI–XVIII stulecia.

Kolejne warte poznania pienińskie osobliwości poznajemy z tekstów poświęconych regulacji Dunajca z 1952 roku, a ustalających *wyzyskanie wód rzeki Dunajca i jej dopływów [...] ważnej dla gospodarki energetycznej*. Czyli rzecz o wyroku na dolinę tej rzeki, kilka starych miejscowości, tereny zalesione (na szczęście niewielkie) i o zagrożeniu zmianami klimatu, a więc też o wpływie na warunki istnienia Pienińskiego PN.

Redaktor „PP” sięgnął do unikatowych wiadomości zawartych w listach Eleonory ks. Lubomirskiej, bywalczyni szczawnickiego uzdrowiska, do jego dyrektora Józefa Kołaczewskiego. Z nich dowiemy się, jakie to wymagania miała księżna wybierając się do Szczawnicy w 1923 roku.

O Józefie Węglarzu Matusku, ze znakomitego starego szczawnickiego rodu, zasłużonym strażaku ochotniku i współautorze kroniki Szczawnicy – dowiemy się z tekstu biograficznego i dokumentów wojskowych.

Autorka tekstu z Warszawy poświęca swoje wspomnienia z licznych pobytów w uzdrowisku – zniszczonym cennym mozaikom ceramicznym, zdobiącym budynki użyteczności publicznej.

Na kolejnych stronach gości autor z Poznania, który śledził prace konserwatorskie kościoła pw. Wszystkich Świętych, tak charakterystycznego w otoczeniu Rynku w Krościenku nad Dunajcem. Okazało się, jak w wielu innych przypadkach, że stare ściany kryją pod warstwami tynku cenne malowidła – wewnątrz świątyni i na zewnątrz.

Na następnych stronach znajdziemy dwa teksty w języku słowackim, a więc warto zadać sobie nieco trudu i przeczytać się w opowieść o... *skole*, czyli szkole, i o... *krowie*.

Z okazji 700-lecia klasztoru klarysek w Starym Sączu, flisacy świętowali w starożytnym zabytku. W 2018 r. to miasto (i jego zabytki) zostało wpisane na listę Pomników Historii Polski i jest jednym z najważniejszych obiektów krajoznawczych, sakralnych i zabytkowych w Małopolsce. Jubileusz 700-lecia lokacji obchodzono uroczysto w Sromowcach Niżnych. Flisakom pienińskim przybyła organizacja partnerska (bo o konkurencji nie ma co wspominać) – znaczną popularnością cieszy się spływ tratwami na... Popradzie, między Piwniczną a Rytrem. Tradycyjnie w tomie „PP” znajdziemy informację o współwydawcy tego bogatego w treść rocznika krajoznawczego – dynamiczną „kronikę flisacką” zapisaną w liczbach. Stowarzyszenie Flisaków Pienińskich to 958 członków zwyczajnych, 7 honorowych i 37 pomocników. Mieli oni w tym sezonie pod opieką ponad 317 tys. ceprów i turystów. Rekord spływu padł w sierpniu 2017 roku – przewieziono przez przełom Dunajca 103954 osoby.

Kolejny raz Szczawnica w lipcu 2017 roku przyjęła swoich bratanków z Węgier, czyli gości na historycznym szlaku początków uzdrowiska. Na tym szlaku ważnym wydarzeniem było upamiętnienie Józefa Madei (1849–1925), pienińskiego przewodnika, flisaka, znakarza w 1906 roku pierwszego żółtego szlaku ze Sromowiec Niżnych do Przełęczy Szopka i Krościenka, gawędziarza. Na frontowej ścianie schroniska PTTK „Orlica” umieszczono tablicę pamiątkową.

Redakcja „PP” zamieściła w omawianym tomie relację z uroczystości 90-lecia Janusza Kamockiego z życzeniami *ad multos annos* oraz z gościnnymi sal Muzeum Etnograficznego w Krakowie im. Seweryna Udzieli, gdzie obchodzono jubileusz 60-lecia pracy dziennikarskiej Tadeusza Z. Bednarskiego. Dowiadujemy się też o świętowaniu w Sromowcach Wyżnych jubileuszu 90-lecia Ochotniczej Straży Pożarnej, pod tradycyjnym hasłem „Bogu na chwałę, ludziom na ratunek”.

Znajdziemy w „PP” kronikarski zapis o XV Jubileuszowym Dniu Papieskim w Rzepiskach, o wystawie twórczości artystycznej rodziny Freyów w Szczawnicy oraz wzmiankę kronikarską o Janie Nepomucenie – kanoniku Kapituły Spiskiej. Wspomniano też o uhonorowaniu ks. Władysława Zązela, kapelana Związku Podhalań kopią obrazu Baraniogórskiej Panienki. Dodam od siebie: udało mi się kiedyś śpiewać z Jegomościem ponad pięć godzin w Tylmanowej podczas obchodów 25-lecia miejscowego Koła Związku Podhalań. Brakowało tylko, z powodu skręconego stawu skokowego, lekcji zbójnickiego w jego wykonaniu. A Jan Kupid, wirtuoz skrzypek z Krościenka, dał się nagrać dla radiowej „Trójki”.

Dowiadujemy się o tym, że do dawnej świetności wróciła polna kapliczka z 1928 roku zniszczona przez uderzenie pioruna w maju 2018 roku i o świętowaniu niezwyklego odpustu we wsi Derenk na Węgrzech, gdzie w 1717 roku zawędrowali polscy górale z Podhala i Spisza, a także o spotkaniu i podziwianiu kolekcji wielce rozmaitych i ciekawych zbiorów orawskiego księdza Władysława Pilarczyka (1931–2015), ofiarowanych Towarzystwu Przyjaciół Orawy. Podobny społeczny gest wykonał Tadeusz M. Trajdos, historyk i regionalista, który Muzeum Pienińskiemu im Józefa Szłaya w Szczawnicy-Szlachtowej ofiarował kolekcję rodzinnych zbiorów grafik, obrazów i rzeźb. To wzbogacenie zbiorów ma znaczenie jako uświetnienie 60-lecia działalności tej placówki i 100-lecia idei jej utworzenia w Szczawnicy.

Obszerny 27 tom „Prac Pienińskich” uzupełniają omówienia i recenzje 9 publikacji krajoznawczych.

Tomasz Kowalik

Trylogia o Łemkowszczyźnie*

Wśród współczesnych autorów opracowań krajoznawczych poświęconych jednemu regionowi Polski, autor tej trylogii wyróżnia się po wielokroć. Z zawodu inżynier chemik, z zamiłowań krajoznawca, przewodnik beskidzki, toponomasta, zabytkoznawca, wydawca przewodników, badacz i dokumentalista współczesnej i dawnej historii Bieszczad, Beskidu Niskiego, Pogórza Przemyskiego, a także strażnik współczesnych osobliwości tych stron. Wiedzę o kresowych regionach zbierał od wielu lat klasycznie – wędrując pieszo. I jak dawni krajoznawcy „przekazywał ogółowi” w licznych publikacjach.

Czyta stare dokumenty tak samo dokładnie, jak teren, fotografuje, zawiera przyjaźnie z ostatnimi Łemkami, inwentaryzuje i ratuje osobiście zabytki pozostałe po coraz mniej licznych kresowiakach, nazywanych grupą etniczną. Należy do nielicznych kustoszów pamięci i pamiątek materialnych, przede wszystkim cmentarzy, figur przydrożnych, kaplic polnych, zachowanych cerkwi i ich ruin. Ma na tym polu mnóstwo osiągnięć, niestety – mało znanych. W bibliografii jego publikacji krajoznawczych jest wiele wydobytych z niepamięci, zachowanych zjawisk i pamiątek łemkowskie z obydwu stron masywu Karpat Zachodnich.

Autor wywodzi swoje pasje krajoznawcze ze Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie (blacha 310, Członek Honorowy) i Towarzystwa Karpackiego. W latach 1983–1999 działał w Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej przy Towarzystwie Opieki nad Zabytkami. W latach 1987–1998 zorganizował piętnaście obozów konserwatorskich, których uczestnicy odnawiali zapomniane cmentarze w Bieszczadach i Beskidzie Niskim. To on zapoczątkował Akcje „Opis” i „Nadsanie”, czyli pionierskie ochotnicze wędrówki i prace znane jako cykl krajoznawczych i szkoleniowych dwutygodniowych obozów w latach 1980–1986. Ich uczestnicy stworzyli inwentaryzację krajoznawczą i zrekonstruowali kilkadziesiąt znikomych pozostałości łemkowskiej kultury materialnej we wsiach na Pogórzu Przemyskim, w Beskidzie Niskim i Bieszczadach. W latach 1999 i 2000 r. prowadził obozy archeologiczne w Berehach Górnych, a w maju 1988 r. zorganizował obóz dla ochotników renowacji cmentarza muzułmańskiego w Lebedziewie koło Terespolu.

Trylogia Stanisława Krycińskiego to kompleksowa dokumentacja problemów etnograficznych i politycznych. Mówi o dziejach Łemkowszczyzny niemal od początku XIX wieku po czasy współczesne. Podziwu i szacunku godna jest drobiazgowość opracowań i obfitość źródeł, jakie poznał autor tych publikacji, by nam przedstawić rzetelną wiedzę krajoznawczą. Kolejne tomy obejmują czasy od lat 30. XIX wieku do września 1939 roku. Poznajemy początki świadomości etnicznej i literatury łemkowskiej, czas pierwszej wojny światowej w Beskidzie Niskim, męczeństwo ludności w obozie Thalerhof. Znaczną część tomu „Czas wojny

i pokoju” autor poświęcił m.in. beskidzkim cmentarzom wojennym. Po II wojnie światowej tragiczne losy Łemków wyznaczyły przymusowe przesiedlenia, czyli Akcja „Wisła” z lat 1945–1947. Warto wiedzieć, że wg spisu z 2011 roku grupę etniczną Łemków tworzy tylko 10,5 tys. obywateli naszego kraju.

Czytając pierwszy tom warto zwrócić uwagę na przynajmniej kilka z 28 rozdziałów, które w przejrzysty sposób wprowadzą nas w problematykę Łemkowszczyzny jako krainy i łemkowskiej kultury. To np. rozdział o osadnictwie u stóp Beskidu Niskiego oraz o zasiedlaniu i licznych dowodach kultury materialnej, sakralnej, w postaci wspaniałych cerkwi łemkowskich o odrębnym typie. Autor pokazał ogrom zniszczeń tak mocno zubażających pamiątki materialne po Łemkach, tę ważną część naszej kultury narodowej. W drugim tomie autor ukazuje postacie badaczy, umownie zwanych odkrywcami Łemkowszczyzny, a są nimi m.in. pisarze, artyści, księża grekokatoliccy, krajoznawcy – tacy jak Wincenty Pol i Oskar Kolberg dociekający osobliwości Łemków i dowodów ich odrębności etnicznej w końcu XIX i w XX wieku. W trzecim tomie trylogii znajdziemy to, co wypada uznać za wiedzę współczesną o Łemkowszczyźnie. W znacznej części jest to wiedza zdobywana przez autora mozolnie, przez wiele lat, w terenie, tak jak robili to jego poprzednicy, ale też metodą studiów wielu przekazów, źródeł, publikacji. Jest ona pokazana m.in. w rozdziałach poświęconych: tej krainie pod okupacją, po 1939 roku; operacji dukielsko-preszowskiej w 1944 roku; wymianie ludności i przesiedleniom w latach 1944–1946; Akcji „Wisła” i ostatniemu 70-leciu w dziejach ludności i regionu.

Trylogię ukazującą tak szeroką panoramę zagadnienia wypada uznać, bez analizy krytycznej i oceny, za unikatowe przedstawienie tematyki łemkowskiej dotąd ubogiej w opracowania. Jest to nie tylko dokumentacja niezbędna – moim zdaniem – aby czytelnicy znaleźli odpowiedź na liczne pytania o istotę Łemkowszczyzny, o to, co nazywamy odrębnością etniczną tej niewielkiej grupy ludności. W istocie jest to rozległa panorama krajoznawcza, której ogląd i poznanie jest niezbędne do poznania odcieni, barw, różnorodności tego, co nazywamy polskością.

Warto wspomnieć, że autora kilkunastu publikacji poświęconych naszym dawnym i współczesnym kresom, mało komu znanym zakątkom w naszych górach i pogórzach południowo-wschodnich, w 2000 r. wyróżniono Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.

Tomasz Kowalik

* Stanisław Kryciński, „Łemkowszczyzna po obu stronach Karpat”, „Łemkowszczyzna. Czas wojny i pokoju”, „Łemkowszczyzna nieutracona” – trylogia, Wydawnictwo Libra, Rzeszów 2018



DOLOMITY

Dolomity
to są takie szczyty
jak wielkie torty przekładane
z różnych smaków i kolorów,
esencją ubogacane
słońca brzasków i wieczorów.
Z czubami skruszonymi
przez wiatry i wody,
ale wciąż się opierającymi
atakami przyrody.
A kruszonka na tortach
jak cukrowe róże
z kakaowo-wapiennej masy
z bitą śmietaną na górze.
Te torty ciągle się sypią,
w dół okruchy spadają
i tworząc rozległe piarżyska –
dalej się rozdrabniają.
Te, co spadły najniżej,
kąpią się w deszczach obficie,
że pozwoliły się przykryć
idącym od dolin życiem.
Już zielenią się na nich mchy,
trawy i odważniejsze drzewa,
wreszcie pojawiają się chaty
i dzwon w małym kościółku zaśpiewa.
A ponad nimi wciąż stoją
te przekładańce tortowe,
kamienne, wielkie i strome
szczyty dolomitowe.

Karyna Drzewiecka

Foto: J. Wysłouch



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki"
przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wysłouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931